

LEOKADIA TRZNADEL

nagrat:
Wierstaw Krasnodębski
Wrocław 1989

Urodziłam się w 1927 roku na Wileńszczyźnie w małym miasteczku Turmont. Była to stacja graniczna z Łotwą. Ojciec pracował wtedy na poczcie, mama pochodziła ze wsi Nurwance, gdzie dziadek był rządcą majątku. Potem ojciec został przeniesiony do Odbrzezia, z kolei mieszkaliśmy w Kołtynianach, a w roku 1932, miałam już wtedy 5 lat, zamieszkaliśmy w Wilnie.

Rozpocząłam naukę w szkole nr 28 im. Królowej Polski na ul. Archenielskiej. Była to normalna szkoła powszechna ale z dzisiejszego punktu widzenia różniła się od współczesnych nszych szkół. W niedzielę chodziło się do kościoła ze szkołą, ze sztandarem, w czasie podniesienia sztandery się chyliły, było bardzo uroczyste. Pierwsza komunia była w kościele Serca Jezusowego, po komunii było przyjęcie, też w szkole: kubek kakao czy bułka. Nie było takich usz jak to się teraz urządza i właściwie centrum tej uroczystości było w szkole. Skończyłam sześć klas a potem można było zdawać do gimnazjum. Można było zdawać i po siódmej klasie. Spróbowałam swoich sił i zdałam do gimnazjum Elizy Orzeszkowej. Ale był to czerwiec 1939. Potem wakacje - szczęśliwa, już jako gimnazjalistka - pojechałam do dziadka na wieś, właśnie do tej wsi Nurwance w Brasławszczyźnie, pięknie położona miejscowość nad Dryświackim jeziorem.

Radość była ogromna ale krótkotrwała. Już w sierpniu zmobilizowali wujka. Zbliżała się wojna. O szkole się nie myślało, bo już bombardowane było Wilno. Rodzice nie zabrali nas do Wilna, byliśmy w tym czasie u babci. W babci domu stacjonował oddział Straży Ochrony Pogranicza, a ponieważ babcia miała radio /radio lampowe, bo światła elektrycznego nie było/, a w okolicy

nie było radia, zbierali się wszyscy sąsiedzi i ci strażnicy i słuchali radia. Naturalnie podtrzymywali wszystkich na duchu, że to potrwa dwa tygodnie, że jeszcze zatańczymy w Berlinie - jak śmiał się jeden z tych poruczników, pan Władysław Cierlik. Nie było widac, że wszystkim się robi coraz smutniej. No i wojna.

17 września raptem przyjeżdża na rowerze sąsiad i mówi: Słuchajcie, drogą posuwa się wielka masa ludzi, to chyba Rosjanie. Więc nas, dzieci, ogarnął jakiś strach niesamowity, nie wiem dlaczego kojarzyło się to nam z grabieżą, z napadem. Zaczęliśmy chować swoje walizki i rzeczy do siana. I raptem patrzymy - daleko od strony Brańsławia czarna masa, tłum ludzi - zbliża się to wojsko. Straszny to był widok. Ludzie w flufajkach, czarne pikowane kurtki takie same spodnie, buty szarowane dziegciem, na głowach czapki z takim rogicem pośrodku. Potem dowiedzieliśmy się, że to budionówki. Prowadzili konie, które ledwo się posuwały, to były zdychające szkapiny. O zgrozo! To miało być wojsko, zwycięskie, które niosło nam swobodę. Jako dziecko odebrałam to w koszmarny sposób, zdawało mi się, że to już koniec świata, jeżeli nami zawładnęła taka jakaś czarna masa. Wszyscy ludzie odczuli to, było ogromne przygnębienie. Natomiast sąsiedzi, którzy uważali się za Polaków w czasie Polaki nagle poczuli się Białorusinami czy Rosjanami i zaczęli przychodzić do dziadka i wygrażać: A ty kulek, a tobie się dobrze powodziło! No rzeczywiście, może się dobrze powodziło, ale nie wiem, czy który z nich tak pracował jak mój dziadek i cała jego rodzina. My przyjeżdżaliśmy na wakacje i też pracowali. Dziadek nie znosił bezczynności. Od świtu do nocy sam pracował i inni pracowali. W żniwa, w czasie kopania ziemniaków czy pielienia w ogrodzie /bo babcia miała 4 ha smych ogrodów/ przychodziły kobiety, które pomagały plewić, my też plewiliśmy. Wszyscy pracowali. Dziadek był kiedyś rzadcą majątku i znał się na pracy. Odkupił kawałek ziemi od właściciela, który zlikwidował

msjatek. To była tzw. Słoneczna Górką, rzeczywiście było to położone na górze, wybudował sobie bardzo ładny dom jak na tamte okolice i tamte warunki. Toza tym miał troszeczkę żyłkę przemysłowca. Wiedział, że ziemia nieurodzajna, więc się len. Wybudował suszarnię, prosperowało to dobrze, nie trzeba było lnu nigdzie wozić, wszystko odbywało się na miejscu. Pierwsza rzecz jaka spotkała dziadka - podpalili tę suszarnię. Wążali, że kukułka trzeba niszczyć, dwa czy trzy tygodnie po wkroczeniu wojsk radzieckich. Zaczęły się nękania. Był taki komendant, wojskowy /to było niedaleko granicy/, objął władzę, przychodzi do dziadka i mówi tak: Olszewski ja ci powiem, że ty tu długo nie będziesz, pakuj się i szykuj do wyjazdu. Ale dziadek jak to dziadek. Przeszedł okres siewu jesiennego - dziadek sieje zboża. Przyjeżdża ten Kubyszkin /a był ludzki/ i mówi: Olszewski ty z umą zaszoł? Ty siejesz? Coś takiego, ja ci powiedziałem, ty wyjedziesz. A dziadek na to: Wiew, że wyjadę, ale po mnie przyjdą tu ludzie, ktoś tu będzie mieszkał. Jak nie posieję, to nikt nie będzie zbierał, a ziemia nie może leżeć odłogiem. - Olszewski ty kukułka ale ty inaczej myślisz. Ja będę się starał, żeby ciebie wywieźli ostatniego. - I rzeczywiście chronił dziadka przez dłuższy czas. Był spokój.

Teraz wracamy do Wilna. Już się uspokoiło, poszliśmy do szkoły. Moje młodsze rodzeństwo jeszcze do podstawowej, ja do ginaszjum. Jeszcze wisieli portrety Mościckiego, Piłsudskiego, krzyże wisieli, jeszcze mieliśmy religię w szkole, jeszcze Rosjanie jakos nie zaczęli działać. Litwini jeszcze nie objęli swojej władzy w Wilnie, dopiero w październiku wkroczyli dumnie, „strojnie odzieni - jak mówiliśmy w ginaszjum - co najważniejsze zmotoryzowani, 4 tankietki, 3 hulajnogi, już objechały wileńskie rogi”. Rzeczywiście wkroczyli dumnie. Zobaczyłem pierwszego milicjanta

myślałam, że to generał. Wysoki, 1.80 z hakiem, na czapce jakby pióropuszc lśniący, złoty, epolety jakieś, łańcuchy, guziki. Młodzież nazywała tych milicjantów kałakutasami /kałakutas to po litewsku indyk/. Rzeczywiście chodzili jak napuszone indyki. Jak zobaczyli gimnazjalistę z orzełkami na guzikach, obcinali te guziki. To było dopiero wyżycie się!

Zanim wkroczyli Litwini mieliśmy w szkole polskich wykładowców. I wszystko toczyło się, jakby jeszcze nie było wojny. W październiku, nie pamiętam dokładnie którego, w czasie lekcji biologii /wykładowcą była pani Pykszyna/, wiedzieliśmy już, że przyjdą do gimnazjów polskich litewscy nauczyciele. W przeddzień udekorowaliśmy portrety przywódców polskich, ubraliśmy je chorągiewkami biało-czerwonymi. Myślimy: jak Litwini przyjdą, niech zobaczą, jakie są te ich litewskie szkoły. Siedzimy w tej pięknie udekorowanej klasie, wbiega starsza koleżanka i mówi: Opuszczamy szkołę. Pykszyna uśmiechnęła się, widocznie wiedziała, że szykuje się strajk młodzieży.

Skrót: Prawie wszystkie polskie szkoły zastrajkowały, zaroiło się na ulicach od granatowych mundurków. W katedrze śpiewaliśmy Boże coś Polskę i rotę, udano się pod Ostrą Bramę. Przerazenie rodziców, rozmowy, ustępstwa./klasy 1 - 4 wykładowy j. polski/. Następnie opór wobec nauczycieli litewskich, bojkot języka. Leokadia Trznadel opowiada anegdotki z życia szkolnego w warunkach panowania Litwinów, przy czym okres Litwy Smetonowskiej i Litwy już rzymskiej mieszają się jej. Wreszcie stwierdza: Nie wiem, ja tam ich nie rozróżniam, ani jednych, ani drugich nie darzyłam sympatią. Oraz: No, Litwini bardzo przyczynili się do tego, żeby Polaków likwidować. Nie wywozili, ale razem z Rosjanami wydawali Polaków i współpracowali. Najpierw z Rosjanami, potem z Niemcami. /koniec większego skrótu/.

Potem przyszli Rosjanie i objęli władzę wspólnie z Litwinami. Nasze gimnazjum już się nazywało chyba szóste. Rozpoczęły się wy-

wózki. Widzieliśmy, jak całe rodziny były transportowane z dworca Wileńskiego. Całe rodziny z dziećmi, dzieci płakały, prosiły o wodę. Tak kształtowała się moja młoda dusza i stosunek mój do tych naszych oswobodzicieli. Jakiś bunt - ciągle nam wpajano, że oni przynieśli nam swobodę, wyzwolili od kułactwa, ale nie wiedzieliśmy, co nam ta swoboda przyniosła. Zaczęła się taka nasza szkolna kospiracja, pojawiły się gazetki w szkole, trzeba było to rozpowszechnić, ktoś na maszynie przepisywał. Wierszyki z ławki do ławki: jak się czytało poziomo proradzieckie, gsk pionowo, antyradzieckie. Kwiecień i maj 41 roku to były już straszne miesiące. Przyszła wiadomość, że dziadka mają wywozić. My natomiast siedzieliśmy, walizki już spakowane, bo wiadomo to: w nocy jechało auto - zatrzyma się czy nie, zabiorą nas czy nie? Sąsiedzi jedni wyjechali. Na razie nasz dom omijano, ale żyliśmy w takiej niepewności i do wybuchu wojny z Niemcami to był taki okres strachu przed wywózką. I raptem bombardowanie lotniska. Zaczęła się wojna. Nie wiadomo, czy się cieszyć. Dużo Polaków się cieszyło, że skończyły się wywózki, ale teraz znowu nie wiadomo, co nas czeka. Ale jak mówili kiedyś tam: choć irsze, ale insze.

Jak się zaczęło bombardowanie Wilna, mój kuzyn, Henryk Nataszko z Bernatyczek /pracował jako mierniczy/, przyjechał i mówi: Słuchajcie, uciekamy do dziadka. I myśmy poszli. Moja ciotka, 18 lat, ja trzynastoletnia i Henryk, 26 lat, już po szkole technicznej. I jego kolega. Myśmy pieszo wyruszyli z Wilna. Rosjanie się cofali a Niemcy jeszcze nie przyszli. Szliśmy wzdłuż toru, co jakiś czas samolot leciał, więc my w krzaki, w las - bombardowali tory kolejowe. Szliśmy trzy dni, we wsiach zawsze pytali, czy Niemcy są w Wilnie. Nie wiemy, bo myśmy wyszli z Wilna jak było bombardowanie, paliła się prochownia Budbiszkech. Przyszliśmy do Bawuki, to jest stacja Czarny Bard, tam mieszkała ciotka. A zaraz za nami Niemcy. Myśmy jeszcze spsły po tej uciążliwej drodze, budzimy się, jakies

nawoływani, Niemcy na motorsch. No, byli bardzo grzeczni w porównaniu z Rosjanami, czysti, domy, pachnący. Zdawało nam się, że nie będą tacy okropni jak się potem okazało. Wróciliśmy do Wilna a tu szkoła polska zamknięta. Organizują się komplety. Moje młodsze rodzeństwo w jednej grupie, uczyła ich pani Banasiowa. Do starszej młodzieży przychodził nauczyciel historii i j. polskiego, pan Jasiński. Byłem ja, moja siostra, potem Jurek Bukowski, Janka Mickiewicz. Potem pani Pietraszko /nie pamiętam dokładnie, pietruszka ją nazywaliśmy, uczyła matematyki. 5 osób przychodziło i codziennie w innym domu były lekcje. Potem mama przez kogoś dowiedziała się, że pani Trelińska, nauczycielka z Jagiellońskiej, z Torunia, udziela lekcji łaciny i historii, więc chodziliśmy tam. Pan Jasiński, nie wiem dlaczego, zrezygnował, więc chodziliśmy tam, ale po jakimś czasie przychodzimy, patrzymy - na drzwiach wisi kartka "choroba zakaźna". Tak było praktykowane, kiedy adres był spalony albo nie chcieli kontaktów. Z tą nauką było różnie, ona się rwała. Potem już zdarzały się łapanki na ulicach, rodzice już troszkę obawiali się o nas, wprowadziła siostra była starsza o rok, ale ja byłam wyższa i wyglądałam jak starsza, więc i na mnie mogło trafić, Niemcom nie można było ufać. Więc z tego strachu siostrę, jako starszą, wysłano do babki, ja zostałam w domu, gotowałam, robiłam wszystko. Mama poszła do pracy. Ojciec zwolnili z pracy w urzędzie pocztowym. Piekliśmy babki ziemniaczane, mama sprzedawała je na targu. Z tych babek dużo ludzi się żywiło, nauczycielki czasem mówiły, że warto do nas przychodzić na te obiady, choć były te babki często ze zmarzniętych ziemniaków. Jakoś musieliśmy żyć. Rodzice potem zdecydowali, że i mnie trzeba z Wilna wywieźć i pojechałam do babki do tej Bracławszczyzny. I tutaj dowiedziałam się, że działa konspira. Przyjeżdżali młodzi chłopcy do wuja, były jakieś narady, spotkania, wujek zaprzęgał konie, gdzieś jechał, wracał. Kiedy wujenka pytała, gdzie - to nie babska sprawa, odpowiadał. I tu poznałam Bogdanowiczów z Karo-

linowaś Natsko to był nasz kuzyn, ale przyjeżdżali chłopcy z Wilna podobno, ale byli zatrudnieni w majątku Stacji jako robotnicy. I nieraz tak bywało, chłopcy zawiadamiają wujka, że ma zebrać wszystkie dziewczyny, bo są dożynki. Jedziemy na dożynki w Karolinowie, przyjeżdżamy - masa chłopców i starszych panów, raptem szu szu - mężczyzn naszych nie ma. Potem dopiero Henryk powiedział, że pod płaszczykiem dożynek czy zabawy musieli się spotykać i naradzać. Z początku nie wtajemniczano nas w te rzeczy, ale my już psim węchem wyczułyśmy, że te dożynki, kupały, noce świętojańskie odbywają się coś często. Kiedy jedziemy do Wilna ze Stacji, chłopcy nas odprowadzali i dają nam paczkę na Mostową. Wytłumaczyli dokładnie - pójdiesz, zostawisz to. Ja już czuję pismo nosem i mówię do Henryka: A gdyby mnie Niemcy złapali? - Nie martw się, to nie wybuch, staraj się, żeby cię nie złapali. Tam były jakieś papiery, może listy od tych chłopców, którzy się ukrywali jako robotnicy w tych Stacjach, nie wiem. Dostyc często mi takie polecenia dawali. Wreszcie mówię do Henryka: Wiem, że tutaj jest konspiracja, ciągle coś robicie, ja bym też chciała. A on: Ty myślisz, że to zabawa, ucz się, nie twoja sprawa, jeszcze jesteś smarkata, wystarczy nas. Zaczęłam go nękać, chciałam coś robić, wszyscy dookoła coś robią a ja nic. Potem przyjechał Pawełek Bogdanowicz - to był już 43 rok - z Karolina do Wilna i spytał mnie, czy chciałabym być zaprzysiężona, bo kilka poleceń wykonywałam i dobrze się spisuję. Zostałam zaprzysiężona i dostałam pseudonim Lolita. Rodzice o tym nie wiedzieli. Starsza siostra wiedziała. Chodziłam dumna jak paw i myślałam, jakim to będę bohaterem. Niestety... Początkowo u nas na Brackiej była skrzynka kontaktowa. Przychodził Pawełek i jego koledzy, przynosili pocztę, a potem sidolki /to były takie granaty ręcznie robione/. I tu miałam kontakt z Wandą Tejczykówną - rozprzewadzało się to dalej po Podgrodziu, Bujnie - tam to dalej szło. Rodzice już wiedzieli, trudno, wszyscy byli jakoś narażeni.

Ja sobie nie zdawałam sprawy, że się narażam, człowiek był tak pewny siebie, jeszcze przysiągł, że nie zdradzi - a przysięgali też mężczyźni i dorośli - byłam pewna, że nikt mnie nie zdradzi i nic mi nie grozi. Potem marzec, chłopcy poszli do lasu, zaczęły się formować oddziały. I Pawełek Bogdanowicz poszedł, już był w 6 brygadzie. Urwał się z nim kontakt bezpośredni, miałam polecenie - czekać na dalsze decyzje. Na razie nic nie było. Może w czerwcu - bo w lipcu zaczęła się akcja - przyszedł do mnie Stefan Pniewski i mówił, żeby w pierwszych dniach lipca przedostać się na drugą stronę Wilii, na ulicę Kalwaryjską. I przeszliśmy z rodzicami, mieszkał tam nasz wujek, u jego znajomych był dobry schron, ulokowaliśmy się w tym schronie. Dostałam zawiadomienie, że mam czekać. Jak będę potrzebna, to dadzą mi znać. Potem zaczęło się - rzeczywiście Most Zielony został wysadzony, Niemcy wycofali się, część została. Po drugiej stronie Wilii pożary, u nas stosunkowo spokojnie. Wprawdzie została wysadzona w powietrze elektrownia, nie było światła i wody, ale na Kalwaryjskiej nie było Niemców. Nasze oddziały wewnątrz, po drugiej stronie, walczyły a potęgą stronie Wilii wiem, że był -ocny i Biały. Biały był na Turmoncie, a -ocny na Słoniankach na Chocimskiej. Tu byli pierwsi ranni, bo jednak bomby zrzucałi. Przywieźli chłopca, który miał rozpruty brzuch, trzeba było udzielić pomocy. Tam był jakiś punkt sanitarny więc ja się od razu zgłosiłam, ale powiedzieli, że formują szpital na Arakowskiej, że może tam będzie ktoś potrzebny. Poszłam tam lecz było już dość ludzi, powiedzieli, że nie jestem potrzebna, trzeba silnych do noszenia rannych. Znajdowali ich i przewozili na drugą stronę Wilii. Właściwie ja wrzeiłam do schronu i nie brałam udziału w akcji. Ale niedługo wkroczyły wojska. Wychodzimy ze schronu i patrzymy: nasi partyzanci przyszli, biało-czerwone chorągwie i mówią: Słuchajcie, Rosjanie są już tutaj. Wychodzimy - rzeczywiście Rosjanie. Wkroczyli do Wilna. Co teraz robić.

Nasz dom na ulicy Brackiej i cały dobytek spalony, nie wracamy, szukamy tutaj lokum. Ojciec dostał pracę na poczcie na Kalwaryjskiej, zatrudnił nas, córki. Jak powiedziałam Stefanowi Pniewskiemu, że będę pracować na poczcie, powiedział: Bądź listonoszem. No i zaczęła się moja praca listonosza. Przynosili na pocztę banderole - to dla Mocnego - normalnie przyjmowałam. Mocny był wtedy na Chocimskiej, dokładnie nie pamiętam, który numer. Zaczęły się ulotki. Naszych partyzantów oszukano strasznie. Powiedzieli, że zdobyli Wilno, że będą oznaczeni, że będzie bardzo uroczyście itd. Niestety, to był podstęp. Wszystkich oficerów wtedy aresztowali i naszych chłopców, zwykłych szeregowców otoczyli i wszyscy znaleźli się raptem na Witnikach. Niektórym udało się uciec, ale nie mieli dokumentów, ubrań, nie mieli gdzie się podziać. Trzeba było nawiązać kontakty, pomóc chłopcom. Na Kalwaryjskiej był taki punkt, starsza pani Grodecka przyjmowała zgłoszenia, co komu trzeba. (ubrania wśród znajomych). Wyrobić dokumenty, zrobić i przynieść zdjęcia - ktoś to tam potem robił, po jakimś czasie przychodziłyśmy i zabierałyśmy. Moja siostra jeszcze wyprowadzała tych chłopców za rogatki za miasto, bo Wilno było otoczone kordonami NKWD. Więc się udawało sympatie, szło się pod rękę - żeby wyprowadzić.

U nas na dole była komendantura wojskowa (Kalwaryjska 33). Raz patrzymy, żołnierze NKWD prowadzą naszych chłopców - Pawełka Kureczko, zdaje się, na komendanturę. Nie wiemy: mają dokumenty czy nie? Ci z komendantury nieraz nam przynosili jakąś konserwę, był taki wspaniały Stefan Trębicki, mówił że jest z pochodzenia Polakiem. Biegnę do niego i mówię, że mojego kolegę zatrzymali (wiedział, że mam 17 lat). On idzie i mówi, że kolega to "pacan" - co wy dzieci zatrzymujecie? - Jakie dzieci? - Który to (do mnie) - pokazuje Kureczkę, a był starszy, tylko malutki. A ten bajec mówi: Jaki pacan, , potrzymamy do jutra, to zobaczycie jaka mu broda wyrośnie! Ale Pawełek miał podrobione dokumenty, a w nich 17 lat, jak ja. Puścili nas do domu jako znajomych, chłopcy śmiali się w kółko, że tak uciekli

s paszczy lwa. Chodziłam więc z pocztą. Na lwowskiej, róg Kalwaryjskiej, był sklep mego wujka, tam właśnie przynoszono prasę, całe sterty ulotek. Wujka już zabrali Rosjanie, wywieźli do Rosji na ćwiczenia, chcieli wcielić do wojska czy coś tam, a ciotka została. Tu był kontakt. Z tego sklepu ja i moje rodzeństwo reznosiliśmy, mieliśmy swoje punkty. Ja miałam kilka punktów na Kalwaryjskiej, jeden punkt to był Słomianka i mieszkał tam Olek Kosagowski. Moje nieszczęście zaczęło się chyba z tego punktu. Miałam klucz od jego branki i w altance zostawiałam mu tę prasę. Trwało to kilka miesięcy. Woje zadania ograniczały się do tych ulotek, no i pomocy dla matek, których chłopcy byli w Kałudze. Przychodziły listy, z poczty bieglem zaraz do tych matek, często nie umiały pisać i czytać, więc "prze-czytaj, odpisz, napisz". Więc pisałam do tych chłopców listy, wysyła- liśmy, matki przychodziły ze listami w oczach jak odpowiedź przyszła. Poza tym one potrzebowały pomocy, bo to często synowie było jedynymi żywicielami rodziny. Nie, nie było nakazu AK, to była normalna lu- dska pomoc.

Zbliża się grudzień, trzeciego rano w niedzielę budzą nas silne stuknięcia do drzwi, wchodzi wojsko NKWD. -Eta sama ja? - słyszę, a drugi mówi -Da. To znaczy znali mnie z widzenia. Wyślę: ktoś musiał mnie obserwować. No ale nie, udaję niewinną, nie wiem nie, nie wiem po c- co przyszli. W domu nie było żadnych kompromitujących materiałów. Ale do sklepu ciotki przyszła nowa dostawa. Co tu robić? Mama mówi, że ma straszny ból brzucha, ubikacja jest w podwórzu, mama w kap- ciach i ten bajec mamę puścił. Mama podwórkiem biegnie do ciotki, nocowała tam moja siostra, bo ciotka była w poważnym stanie i czeka- ła na rozwiązanie.. Mama tam wpada, mówi: Likwidujcie wszystko, bo przyszli po Lolę, jeśli to jest wyspa, to zaraz przyjdą tutaj. No i zniszczyły wszystko, co było.

Nie zabrali i poprowadzili na Błockiego. Naprzeciw dyrekcji kolejowej była willa zamieniona na prowizoryczne więzienie.

Piwnice zamienione na cele, małe okienka ze zbrojonego szkła, zimno, mrok, niektóre cele w ogóle nie miały okien. Na razie jestem na górze, wzywają. Sledczy: Wasza kliczka (pseudonim), kto was wciągnął do organizacji, od kiedy w niej jesteś. Naturalnie nie, nigdzie nie chodziłam, nikogo nie znałam, do żadnej organizacji nie należałam. Nie wiadomo, z której strony ktoś sypnął. Straszą krasnaw : teraz ale jak tam pójdiesz pod wał, to wszystko wyśpiewasz. Nikt nas na razie nie bije, rozmowy są dosyć grzeczne: Taka młoda jesteś, ty zobacz jacy dranie ciebie wciągnęli, ale jutro możesz wyjść na wolność przecież więzienie jest tylko dla przestępców itd. Pójdiesz w podwał, to się napyslisz i wszystko powiesz. No i rzeczywiście - idę pokornie, 17 letnie dziewczoską, troszkę ciekawi mnie, co w tym podwalu, troszkę ciekawości, strachu, wszystko to jak w jakimś filmie kryminalnym. A tam widzę na stole noże, szpilki, scyzoryki, jakieś ostre narzędzia. I myślę - to tu będą tortury! Jak mnie straszyle, to zaraz będzie wbijanie szpilek pod paznokcie, sznurami tymi przywiążą mnie do stołka - już widzę siebie storturowaną, zbitą, zmasakrowaną. Na domiar złego przychodzi Rosjanka i mówi: Rozdziewajcie się, Tego jeszcze brakowało, koniec! Tymczasem widocznie miałam taką przerażoną minę, że jak krzyknęłam! O to, to nie! - ona machnęła ręką, wybrała tylko szpilki z włosów. Idę. Ciemny korytarz, piwnice, wyobrażam sobie : wchodzę tam, szczury, oczy im tylko błyszczą, woda po kolana, co to będzie? Wszystkie koszmary mam przed oczyma. Tymczasem otwierają się drzwi, ja patrzę - siedzą takie same księżniczki jak ja i trochę starsze panie. Siadam i mówię: Jaka jesteś szczęśliwa! No i tu wybuch śmiechu. Tego jeszcze nie było - ktoś wchodzi do więzienia i mówi, do celi, mówi "jaka jesteś szczęśliwa", skąd to szczęście? Mówię, co sobie wyobrażałam. No i zaraz: Za co siedzisz? Nie wiem, jestem niewinna. Jakaś pani mówi: A ja to listonosz. Oj, myślę, to chyba prowokator, trzeba się mieć na baczności.

Siedzę w kątku, z nikim nie rozmawiam. Npntem otwierają się drzwi i wchodzi starsza pani - pani Kazimiera Pazowska, o zgrozo! Ta, która dostarczała tę prasę do sklepiku. Spojrzała na mnie, wielkie oczy, starała się usiąść koło mnie. Dostała ataku wątroby, zauważyła stękać, wreszcie mówi do mnie cichutko: Wy się nie znamy. Dostała ataku wzięli ją do szpitala, a potem wypuścili.

Zaczyna się śledztwo. W nocy zawsze wzywają, wszyscy drżą. Wiadomo: jak dawali kubek wody, to troszkę wypijałyśmy, a reszta zostawiałyśmy na ewentualne kompresy. Trzeba było lać na ręczniki, potem okłady robić. Pierwsze śledztwo. Śledczy Rajak się nazywał, taki oficer, jeszcze chyba pracował na awans, bo miał jedną gwiazdkę, w każdym razie żył z Rosji. Jego dużo ludzi pamięta, bo miał twardą rękę. Zarabiał na swoje szlify uczciwie. No i zaczęło się bicie. W twarz raz, drugi: Gawari, gawari, gawari! A najgorzej, że nie wiadomo, co mówić, nie wiadomo, kto śledzi, kto wsypyany i z której strony. Czekał, może wreszcie się czegoś dowiem. A on "gawari" i bije, tłucze. Ja nic. I wreszcie pewnego dnia mówią, że będzie konfrontacja.. Przychodzę: siedzi pan Stefan Pniewski, ten, który mnie skontaktował z Mocnym i mówi: Mów wszystko, bo oni wszystko wiedzą. Nic głupszego chyba nie mógł powiedzieć. Bo wiedziałam, że wasę osób nie śledzi. Co znaczy to wszystko? Sytuacja była niedobra, bo on mówił jedno, ja drugie, dopóki nie wiedziałam, co on powiedział, nie mogłam powiedzieć tak ani inaczej, więc mnie tłukli. On wreszcie mówi: Powiedziałem wszystko, bo oni mnie bili. Wzięli się za mnie i te tłukli. Chodziłam jak ten foksterier z jednym okiem podbitym. Wzięli mnie kiedyś do pracy ("kto chce iść myć podłogi na górę!"), każda tego chciała, bo troszkę wody do obmycia się, słodce można zobaczyć, ryknąć świeżego powietrza. Prowadzą mnie na górę, biały dzień, słone świeci, ludzi prowadzą (niektórym kazali się odwrócić jak nas prowadzili), nptem biegnie naprzeciw jakiś śledczy i krzyczy do bajsza, który nas prowadzi: Wy patrzcie, kogo wyprowadzacie! Patrzę w szybę: o zgrozo! - rzeczywiście wyglądam jak foksterier, jedno oko podbite.

Po tej konfrontacji wzięli mnie jeszcze na śledztwo. Wyżyli się, tłukli niesamowicie. Przychodził pułkownik podobno, wyzwiska straszne - nie wiem, czy słyszał jaki mężczyzna w Polsce takie - sypały się na moją głowę. Bo były niezgodności w naszych zeznaniach. Nie mówię, bo nie wiem, kogo on (Stefan Pniowski) zdradził. Tłukli. Dostałem ataku hysterii, zaczęłam wrzeszczeć niesamowicie. Potem prowadzą mnie do tego podwału, ale dają do innej celi. Wchodzę, w celi jest światło elektryczne, okna nie było - w celi była moja siostra. Byłam oszołomiona, głowa moja była spuchnięta, cała byłam spuchnięta. Siostra. Dyżurny spojrzał, to samo nazwisko, poprowadził do tej celi. To był taki szczęśliwy traf. Wprowadzie jak weszłam, to siostra najpierw mnie nie poznała, a potem po płaszczu (a płaszcz z był salony woda, bo jak tam wrzeszcząc w hysterii wyprężyłam się, oni chlupnęli na mnie zimną wodą. Włosy sterczały, twarz spuchnięta, zlewna woda). Wreszcie siostra poznała, wzięły mnie pod swoją opiekę, wzięły moje ubranie i wybiły moje wazy - bo było światło elektryczne. To był akurat dzień moich imienin, 9 grudnia. Ta noc spędzona z siostrą w celi, gdzie mnie omyłkowo wpędzono, dała dużo w sprawie mojej siostry, bo też niby była zaangażowana, brali ją na śledztwo, mówili, że ja o niej mówiłam - nie przyznasz się, to siostra dostanie za to, że nas okłamała. Takie chwytły. Siostra nie wiedziała, co ma mówić. Nic nie wiesz, nic nie słyszałaś, trzymaj się tego. Była to więc noc szczęśliwa, może opatrność tym pokierowała. Bo międzyczasie aresztowali mojego ojca, który poszedł do jednego ze swych współpracowników i tam był kocioł. Zaraz powiązali te dwie sprawy, śledczy zaczął mi mówić: Ojciec był zaangażowany i wszyscy. Sprawa zaczyna przybierać niedobry obrót, ale trzymam się ściśle tego, że nikt nic nie wiedział w domu.

Druga moja konfrontacja była z Aleksandrem Koszakowskim. I nie wiem, ale odniosłam wrażenie, że on współpracował z Rosjanami. Może mylnie. Nikt o nim nie słyszał. Ja teraz pytam, bo ciekawa jestem,

czy on rzeczywiście poszedł na tę współpracę. Tak samo, jak zginął ślad Iniewskiego Stefana. Też nikt nie słyszał, a troszkę dziwnie zachowywał się na sądzie.

Na Słowackiego śledztwo trwało od chwili aresztowania 3 grudnia do 24 grudnia. W pierwszy dzień świąt wywieźli nas do więzienia na Łukiszkach. Tam już inna atmosfera, bo przede wszystkim do łazienki zaprowadzili. Tam nie wiedzieliśmy co to łazienka, co to woda, nie można się było umyć, nie wiem czy u gospodarza dobrego tak bydłota żyją, jak myśmy żyły w tej piwnicy na Słowackiego. A tu łazienka. To jest rozkosz. No i wtedy zobaczyłyśmy się w całej okazałości. I raptem śmiech - wychodzi koleżanka Wikta Kościuszkiewicz - wygląda jak zebra: od nerek wzdłuż całej w żółtosine pasy. Okazuje się, że my to samo. Śmiejemy się z siebie samych. To poczucie humoru to chyba ostatnie stadium. Wzłość ma swoje prawa, we wszystkim chce widzieć coś wesołego.

Wróć do okoliczności aresztowania mojej siostry. Po moim aresztowaniu na drugi dzień przyszli do ciotki na ten punkt kontaktowy, zrobili rewizję, ale wszystkie materiały kompromitujące były już usunięte. Ciotka już była w szpitalu, właśnie urodził jej się pierwszy syn. Była babcia i moja siostra. Zabierają babcię, a siostra mówi, że to staruszka (babcia miała wtedy 60 lat), więc oni: Dobrze, zabieraj się ty, jeszcze lepiej. I tak siostra znalazła się w tej celi i chcieli nasze sprawy połączyć. Dzięki tej nocy spędzonej razem ocalała. Ojciec, który był naczelnikiem poczty, poszedł do tego współpracownika, Litwina i tam był kocioł. Już po moim wyjściu dowiedziałam się, że to była jakaś nacjonalistyczna organizacja litewska. I znówu chcieli sprawę ojca połączyć z moją, ale nie udało się. Odsiedział te swoje kilka miesięcy, wyszedł, siostra też po 3 mies. na Łukiszkach została wypuszczona, bo nie było właściwie żadnych dowodów. Ciotkę rodzina wykraść (ze szpitala) i wywieźć, podejrzewam że Stefan Iniewski sypnął jej punkt, z moich ust nie padło jej nazwisko. Jakoś to zostało zatuszowane, już nikt jej nie szukał.

Tak że zostałam sama, spadł mi kamień z serca, że nikt ze mną nie poszedł do więzienia.

Tracam do pobytu na Łukiszkach. Grudzień 44 rok był znany z przepełnienia. W celach jedno, dwu-osobowych, siedziało 20, 25, a czasem 30 osób. Więc warunki były koszmarnie. Jeśli leżałyśmy, to jak śledzić w beczce, nie można było się przewrócić. Spać niespokojnie, nieraz w nocy koleżanki zdejmowały moje ciężkie nogi ze swoich głów, mówiły że mnie zamordują, bo im odbieram pół życia. Hanka Bolińska tak mordowała. Był głód. Nie zezwalano na otrzymywanie jakichkolwiek paczek, bo okres śledztwa, żadnych kontaktów nie mogło być. Rano racje: woda, kawałek chleba, który trudno było do wieczora utrzymać jedząc po kawałeczku. No, ale jakoś przeżyłyśmy. Zupa była z nie obieranych ziemniaków, na dodatek podawana w spluwaczkach. To było słynne na Łukiszkach, każdy to powie, widać żołnierze nie wiedzieli, do czego to służy, może to było jedyne dostępne wtedy naczynie? Czasem grochówka, woda pogrochu. Cięższa sytuacja była u mężczyzn, może kobiety są wytrwalsze, może mają mniejsze zapotrzebowanie? Ale z mężczyznami to był koszmar. Czasem brano nas do mycia podłóg na korytarzach, to był kontakt. Pod celami, gdzie byli nasi chłopcy, zawsze było bardzo czysto. Szorowało się, zmywało, wycierało, w międzyczasie chłopcy pisali jakieś kartki, one trafiały do nas, a jak trzeba było to dalej. Była taka Niasia Demiszówna, trochę na jedną nogę utykała. Jak ona wyszła na korytarz, nie wtaczała bez informacji, bardzo ineresujących i czasem w śledztwie bardzo pomocnych. Np taki fakt: Niesieny wodę z ubikacji i trzeba było podać informację, że "Zuczek" (Lewiarska) - wpadła. Przechodziły koło celi, gdzie ktoś siedział z jej grupy. Więc taka Krystyna Dąbrowska mówi "Zuczek wpadł!" i zatrzymuje się przy tej celi patrząc na wodę. Dyżurny krzyczy, żeby być ciszej, a ona: "Zuczek wpadł!" - niby do tej wody. Więc odstukali, że zrozumieli o co chodzi, sprawa była załatwiona. W porównaniu z tym, co było na Słowackiego, gdzie nie było powietrza - na Łukiszkach warunki ciężkie

(te parasze w celach), ale można było otworzyć okno, wpuścić powietrza. Byłyśmy młode, siedziałyśmy, opowiadałyśmy sobie, wiersze układałyśmy, a kiedy dokaczał głód, to przypominam sobie, Kryśka Dąbrowska mówi: Słuchajcie, dlaczego pociąg jak coś słodkich, z cukierkami - czemu nikt nie powiedział : pociąg jak blin kartoflany. Oddałybyście wszystkie słodkości świata za blin kartoflany. Nieraz zastanawiałam się, jak to było możliwe, że po obiedzie zostawały jakieś resztki ~~niezjedzone~~ niedojedzone. Wszystkie myśli krążyły wokół jedzenia. A było koszmarnie, jak starsze panie przypominały sobie przepisy, jak to się robiło kaczkę albo gęś, co się dodawało. To były spory dość nawet agresywne ("Co pani opowiada! itd) a nas skręcało. Pewna starsza pani (Chyba Cybulska) trafiła do nas, bo pomagała partyzantom, jedzenie dawała, ale babcia - też konspiracja! Poszłyśmy kiedyś na tzw. spacer. Wysokie, betonowe ściany, może 30 m. kw. Ubrane dość lekko, niektóre miały cienkie pantofelki, bo przesztowane zanim były śniegi i mrozy, z ulicy zabrane, więc zimno. Wreszcie mówimy: Tańczymy! - Co? - Polkę! Bierzemy i babcię do tańca a ta mówi: Żeby mnie teraz stary przez dziurkę od klucza zobaczył, powiedziałby "zwarłowała baba". Ja się z wami odmłodziłam. Jakoś nas się humor trzymał, epozą tym nikt nie wierzył, że będziemy siedziały, jak nam mówili, 10 lat. W marcu odbył się sąd wojskowy, zawieźli nas znowu na Słowackiego. Siedziało tam trzech umundurowanych z godnościami, z orderami. Nas było pewnie z 10 osób. Z tego pamiętam: Stefan Pniowski, Stenia Szanterówna, potem obok niej ja, jakiś pan Kwiatkowski, Krystyna Dąbrowska, Danka Dąbrowska, Oleszkiewicz Wanda, Niusia Deniszówna, Nastka Czerniawska, Inka Kaluszew. Kogoś tam pominęłam, ale nie pamiętam w tej chwili.

Przeczytali nam winę, b. krótko. Jakimi to jesteście obrońcami - przede wszystkim zdrada ojczyzny. Jak nas ziemia nosi! Nie ma wdzięczności dla Związku Radzieckiego, krew przelowali za nas

prawie że nam przypisywali współpracę z Niemcami. Paszyści itd. Zarzucają nam zradę ojczyzny. Żadnych obrońców. My młode dziewczyny szopka, śmiech nie sąd. Myśmy nie wierzyli, że to poważne. Np. takie "Wstać, sąd idzie" - ciężko wstała, środek ciężkości zachwiany, ławka podnosi się z jednej strony do góry, z trzaskiem się wali, wszyscy cha cha - śmiesznie. Aż sąd ogłasza wyroki: Stefan Pniowski - 10 lat 5 pozb. wolności., Szanter - 10 lat, 5 pozb. woln., Marcinkiewicz - 10 lat, 5 pozb. woln., Kwiatkowski (czy Kisielewski, nie pamiętam) 10 lat - i to był nasz pierwszy rząd. Drugi rząd już nieco łżejsze wyroki: Krystyna Dąbrowska - 8 lat, Danka Dąbrowska - uniewinniona (jej nie było na tej sali rozpraw) i raptem Oleszkiewicz Wanda - 4 lata. Wanda wstaje (pomagała niejakiemu Zawadzkiemu w dostarczaniu dokumentów, chodziło chyba o uchronienie go od wojska, ona była pośredniczką w wyrobieniu tych dokumentów) Kiedy ją pytali, dlaczego to robiła, Kryśka odpowiedziała jej: powiedz, że kochałaś. I ona, 17-letnia dziewczyna - bo kochałam. I za to dostała 4 lata.), trzeba by widzieć ten obrazek, Wanda, która dostała 4 lata, zalewa się łzami. Prowadzą nas do piwnicy, my wszystkie hi hi, 10 lat, robimy z tego szopki, bo myślimy, wojna się jeszcze nie skończyła, to był marzec 45 rok, bzdura, żeby nas, którzy walczyliśmy z Niemcami... itd traktujemy rzecz lekko, pełni optymizmu. A Wanda zalewa się łzami. Czego ryczysz? - Tak, teraz mnie wezmą do innego obozu, a ja chce być z wami... Czego mi dali tylko 4 lata, czy to ja gorsza od was? A Kryśka: Ty za miłość siedzisz, nie za politykę. Jakieś kontakty musiała mieć, spaz dokumentów nie zrobiła. Najczęściej na śledztwie podawano się martwe dusze, tych co zginęli w akcji. Ja mówiłam wciąż: Zginął w akcji, zginął w akcji, aż raz śledczy powiedział: Co ty mi tu niortwyje dusze Cogola wspominasz!

Po tym sądzie z wyrokami wróciliśmy znów na Łukiszki. Jeszcze byliśmy dobrej myśli, bo jeszcze wojna się nie skończyła.

Ale raptem dowiadujemy się, że się skończyła. U nas nie było widać radości. Może trochę przejrzałyśmy? Zrozumiałyśmy ich podejście i politykę w stos. do nas? Stawali się coraz bardziej groźni. I potem, to był chyba maj, wywożą nas do Klasztoru Wizytek na Rossie, tuż przy kościele było więzienie. To był tzw. Presylnyj punkt. Niedaleko torów kolejowych, miejsce dogodne, murem otoczone (teraz byłam w Wilnie, mur stoi nadal, jakiś poprawczak czy więzienie). I tam byłyśmy kilka miesięcy, prawie rok. Pracowałam w szwalni, szyłyśmy dółki tych naczelników sukienki, miałam trochę zdolności, inne panie robiły na drutach. Co jakiś czas był etap i zabierali. Była z nami pani Halina Poraj-Dolińska i pani Waleria Raudon. Spały na dolnych pryczach (mawiałyśmy, one pracowały z sutereny, my szwaczki z facjatki) pracowały w pralni. Namawiałyśmy je, żeby przeszły do szwalni - nie, one chcą w pralni. Okazuje się, że w maju w niedzielę, raptem wielki popłoch, prawierka, liczą nas. Wpadają do celi: gdzie zostawiły rzeczy! Okazało się, że uciekły przez klasztor. W pralni było zakratowane okienko, które wychodziło do lochu między pralnią a kościołem. Potem nam dyżurny Mitwin mówił, że tam znaleźli ich ubrania, drabinę. Pomoc była z sewnatrz. Ten dyżurny mi mówił, że ta moja koleżanka pojechała autem. Wyszły z kościoła, wsiadły do samochodu, gdzie siedziało dwóch wojskowych z armii Karlinga Berlinga. Niby zepsuło im się auto, a jak wyszły, pojechały. Wydawało mi się to trochę dziwne - mówił ten dyżurny. - Szukają ich, ale oni już pewnie za granicą.

Było widać, że ci Litwini też nastawieni przeciwko Rosjanom. Nawet było tak, że kiedyś nas nie zabierają do pracy (pracowałyśmy na mieście koło kościoła misjonarzy), mówią, że nie ma strażników, pięciu Litwinów uciekło z tych, co nas pilnowali. Jeszcze przedtem jeden strażnik mówił: Słuchajcie, dziewczyny, ucieknijmy stąd, czy nam tu takie słodkie życie? Myślałyśmy: prowokator tak gada.

W tym czasie była organizowana jednocześnie ucieczka w szwalni. Miała uciekać pani Kozłowska, krawcowa i Wile zagórska. Oni zwrócili całą uwagę na szwalnię, a nie myśleli o pralni. Potem powiedzieli: Wiedzieliśmy, że mają uciekać wysoka blondyna i mąż z czarnymi oczami. Skąd wiedzieli, nie wiem. Kiedyś Halina była zrozpaczona, że z paczki zginęły pierożki. Widocznie coś miało być w tych pierożkach. Pótem zasięgałam informacji, ktoś mówił, że pani Waleria Rando została aresztowana tu i przesiedziała 20 lat w Krakowie. Nie wiem czy to prawda. Mówili, że mieszka w Łabie na Kościuszki 154 czy coś takiego, pisałam, nie otrzymałam odpowiedzi.

W następstwie tej ucieczki, ponieważ pomoc była z zewnątrz, postanowili wszystkich Polaków wywieźć, bez względu na to, czy szyje, czy potrzebny. I zaraz zaczęli formować transport. Na poczeka- niu zaczęli nas ładować wszystkich. Kilka osób zostało: Hanka Dolińska i Henia Garmontowa. Wnie też mieli zostawić, ale zapisałi. Hanki może nie wzięli, bo była bardzo ładna. Mieli cię zostawić - mówią koleżanki, a ja :Wolę jechać w dobrym towarzystwie, i tak się od tego nie uchronię. Towarzyskie bydło. Było to 26 maja, jak mówi siostra, która nasz transport odprowadzała. Ładowano do wagonów bydłych, 40, 45, 50 osób do jednego wagonu, wagonów 40. Było nas więc sporo. Ten odjazd był koszmarny. Tłumy naszych krewnych, pociąg rusza, straszny krzyk, słyszemy głos babci Leszczykówny: Bandyci! wywozicie nasze dzieci!. Przedtem moja mama chciała podać nam wody. Ten bajec, co stał, miał nawet wiadro. Prosiła, napompował tej wody potem mamie pod nogi chlusnął i śmieje się. Byłyśmy spragnione, naj ale upał, straszne przeżycie.

Ci żołnierze z naszej ochrony to byli zastraszeni ludzie, którym mówiono, że mają wykonywać, a jak nie, to ich to samo czeka, co nas. Czasem mieli satysfakcję, jak komuś przykrość zrobili, może nas uważali za strasznych wrogów swojej ojczyzny? Popisywali się przed swoimi starszymi, bo tacy bezwzględni byli najlepsi. Nie wie-

rsą, żeby wszyscy byli tacy. Albo rzeczywiście mieli wypaszone chara-
ktery, gdzieś tam w K^Wasomole wychowani, sprzedaj brata, sprzedaj
ojca. Nie myślę, żeby to byli ludzie dobierani specjalnie. Tam ich
było tak dużo... Jeżeli kolega tak robił, to drugi też ze strachu,
żeby nikt nie pomyślał, że on jest lepszy. Bo to było niebezpieczne.
Później, w obozach, największą krzywdę wyrządzałyśmy tym strażnikom,
o których mówiłyśmy, że są dobrzy. Oni tak mówili. Nie można było
powiedzieć, że jest ludzki, bo jak to doszło do ucha ich przełożo-
nych, to nie głaskali ich za to po głowie. Nawet jeśli chciał być
dobry, bał się tego.

Jechaliśmy w bydłych wagonach przeszło 2 tygodnie. Kierunek:
Solikamsk nad Kamą, na Uralu, przez Wielkie Łuki, Psków. Dwie spła-
szone nary, nie więcej. Otwór, który służył jako ubikacja. Ani wody
ani żywności nam nikt nie dawał, choć jechaliśmy dość już długo. Ob-
sługa tego transportu składała się z recydywistów, bandytów - oni
byli zaufani., nie byli groźni, tylko my. To był okres bezprawia,
nikt nie stanąłby w naszej obronie. Jechaliśmy przez odludzie, od
miasta do miasta daleko, pociąg się nie zatrzymywał. Elementy spe-
cjalnie wymieszane, złodzieje, recydywiści, polityczni. I zawsze
prym wodziła ta grupa złodziei. Oni nam zawsze grozili: Czekaście,
będzie transport, to my wam pokażemy! Jedziemy. Każda miała trochę
rzeczy, rodzice wyposażyli na daleką drogę, ubranie cieplejsze. Za-
czyna się narada wśród złodziei, że nas oczyszczą ze wszystkiego.
No i one zajęły lepsze miejsca przy oknie, wałym okienku - triumfu-
ją. Więsienie to dla nich dom rodzinny, informują, jak to jest w Sol-
likamsku, bo już tam były. Dla nich to chleb powszedni. I raptem
w nocy zeskakują te bandytki do nas. Ale myśmy już wywachały wcze-
śniej pismo nosem, bo wcześniej szeptały, jak to nas zatakują.
A myśmy miały oficerki i plecaki z rzemieniami. Z jednej pryczy ode-
rwałyśmy deskę ze sterzącymi gwoździemi. Byłyśmy uzbrojone. Rzuciły

się na starsze panie - a my wszystkie dębem. Co kto miał: podkute buty, ramię, ta deska z gwoździami! Pamiętam, była Litwinka, spokojna, wody nikomu nie mała, ale postawa potężna, wiejska, silna dziewczyna. Wy do niej: Zaczynamy? Z osie tylko podniosła się, Wila z agóraka chyba z tą dechą. Murem. Zatkąło je. I raptem: No, nie, zostawcie, poszczutit nie lza? - O, takich szczutek nie uznajemy! Wszystkie je z nar, rzeczy na podłogę. Te chore panie poszły pod okienko (wcześniej nie chciały ich puścić). Teraz dzielenie chleba. Mieli ze sobą kontakt ci złodzieje, na każdej stacji wymieniali ukradzione rzeczy, komitywa. Dawali chleb, to one sobie zostawiły bochenek, a nam, całej reszcie, drugi bochenek do podziału. I nie ma co dzielić. Teraz powiedziałyśmy: Koniec! Dzielenie chleba należy do nas, ucściwie wszystkim. Do końca była komitywa jak najlepsza.

Przyjeżdżamy do tego Solikemska, wysiadają nasi mężczyźni. Widzę Tadzika Nagłowskiego. Przystojny chłopak, dobrze zbudowany, ostatnio widziałam go oficerkach, pięknej kurtee. Teraz Tadzik w cieregrejce, łokcie ledwo zakryte, wotowane spodnie za kolana, obszarpany. ~~Szkolnik...~~ Zdumienie mężczyzn: Wy w swoich ubraniach? Wyśmy się odstawiły (poznaj pana po cholewach i wychodzimy z wagonu. Prowadzą nas do obozu. Z daleka widać wysokie 5m pale, trochę na ukos ułożone, więc nie było widać, co tam jest. Wachts. Wchodzimy. Przerażenie: Na spotkanie wytaczają się ludzie bez rąk, bez nóg, o kulach, w wojskowych mundurach. Żołnierze radzieccy. Koszmar. Wyśle - szpital czy co? No ale idziemy, na naszych plecach unieśliśmy ze szmatek chragiewki biało-czerwone - Polki idą, śmiało kroczymy. W tej grupie (przy wejściu?) byli Polacy. Był taki Mietek Pietraszkiewicz, oficer polski, który siedział od 39 czy 40 roku. Jak Sikorski podpisał umowę i Anders zabierał Polaków, oni podpisali, że są wolni. Wzięli od nich te podpisy, powiedzieli: Poczekaście do jutra, dostaniecie dokumenty - i koniec. Przyszli jutro i wrócili do obozu. Był Pietraszkiewicz, było dwóch

braci, chyba Czerniawscy się nazywali. Jeden nie czekał na dokumenty, pojechał, drugi został, czekał na tę jakąś sprawkę. I jeden został w obozie, a drugi dostał się do armii Andersa. Tak że uwierzyli im, a oni zdobyli tylko podpis, że są wolni, zwolnieni, a nie chcieli jechać do wojska. Więc podejrzewam, że takie manipulacje były też robione, że nie chcieli iść. Mogli, ale nie chcieli. I wrócili i właśnie z nami siedzieli. Więc jak przechodziłyśmy, był taki Władysław Rydzanow, jak zobaczył, że idą Polki, zaraz "całuje rączki" - a Wila Zagórska : Nauczył się dwóch słów i zadowolony! On oburzony, jestem Polak ze Lwowa, proszę was nie obrażać. Potem się zaczęła między nami przyjaźń. Z tą polszczyzną różnie bywało, Polacy siedzieli dosyć dawno, czasem było tak, że ktoś powiada "wziąłem czapkę pod wyszkę" - a my w śmiech. A on: Poczekajcie, posiedzicie tyle lat co my, to też będziecie tak mówić! Potem i u nas już cały dzień mówiło się po rosyjsku, spotykałyśmy się tylko po pracy i wtedy język polski był w użyciu. Były dziewczynki po 13 lat, takie dwie Terenie były, jedna teraz Jankowska, mieszka gdzieś w Olsztynie, miała 13 lat, brat był w partyzantce, przyszli do domu aresztować całą rodzinę. Ta dziewczynka uciekła, pobiegła do lasu szukać brata. Znalazła oddział i w nim była. Kiedy ich okrążyli, wszystkich pomordowali, ją zostawili. I ta biedna na śledztwie mówiła wszystko, co śledczy chciał. Tak, mordowała oficerów radzieckich. Żeby jej nie bili, opowiadała te bajki. Dostała 25 lat. Nie miała kontaktów, nie wiem, czy mówiła jakieś nazwiska. Autami ją gdzieś wozili, coś pokazywała. Mówiła, że nikogo nie wydała, ale na siebie to nagedała. Potem ją uniewinnili. Była taka jedna pani, co pisała do Stalina, nawet przed śmiercią Stalina ją uwolnili.

Wrócę teraz do tych osób, które takie straszne wrażenie zrobiły na nas przy wejściu do obozu. Te kaleki bez rąk. Skąd się wzięli? Okazało się, że bezpośrednio z frontu. Jak oswobadzali ja-

kieś tereny, brali jeńców wojennych i ci jeńcy jako przestępcy i zdrajcy ojczyzny, byli kierowani od razu do obozów. I wieźli całe transporty. To była jeszcze zima, więc okres odmrożeń. Oni jechali tygodniami, nieraz te pociągi stały na bocznicach i bywały sytuacje, że jak przyjechał transport, to trzy czwarte nadawało się tylko do amputacji. Ręk, nóg, a czasem obu rąk i nóg. Opowiadał Wietek Pietraszkiewicz, że on jechał takim transportem w 40 roku, zima wtedy była straszna, wieźli ich tam, na Ural. Ich wagon jedynie ocalał i nie było odmrożeń, bo zastosował przymusową gimnastykę, bieganie, ruch. Dosłownie bił ludzi, którzy sobie chcieli gdzieś ukucnąć, zasnąć. Byłem okrutny - mówił. Biłem strasznie. Oni ze złości zaczęli się bić ze mną, ale ruszali się. I nasz wagon ocalał. Potem mi dziękowali, choć z początku każdy groził, że po przyjeździe samorduje. Ty wiesz, mówił, tu, w obozie nam życie, wszyscy mi tu pomogą, nam chodzą. "błat", jak się mówiło. Jak będę mógł, to wam pomogę. I rzeczywiście dużo dosyć nam pomógł, bo zaraz poszedł do naradczyka, powiedział, że jesteśmy nie przyzwyczajona do ciężkiej pracy fizycznej, że żeby nas oszczędzał. Bo tam była fabryka, kopalnie jakiejś rudy, wiecznie się miało podrażnione śluzówki, mężczyznom wiecznie lała się krew z nosa. Nawet jak pracowałyśmy w tartaku - to była lekka praca - to same dymy drażniły śluzówki. Ja tam nie pracowałam, ale w Solikamsku były jakieś kopalnie. Nasi chłopcy akurat też tam nie pracowali, bo, jak mówię, mieli troszkę "błatu", troszeczkę ich tam ferowali. Ich wyroki miały się ku końcowi, w 48 roku kończył się im wyrok. A to był rok 46. Ci co mieli wyroki ku końcowi, mieli troszkę łżejsze warunki, mogli czasem wychodzić bez konwoju, ale nie, polityczni nie, oni byli niebezpieczni.

My chodziłyśmy do tartaku. Kamą płynęły drewna, mężczyźni je wyciągali, potem to się ciężko na deski, a potem robiliłyśmy tzw. drankę. To jest taki podkład pod tynki, robiło się takie romby czy kwadraty, przybijano się, na to kładło glinę - takie budownictwo.

Potem budowaliśmy posiołek, za miastem takie osiedle. Wszystkiego nauczyliśmy się robić: tynkować, cegłę nosić, ale z wyrobieniem normy to było bardzo ciężko. Nikt z nas by nigdy tej normy nie zrobił, a niewykonanie normy to pozbawienie tej racji żywnościowej. No, może deliby 300 g chleba, ale to mało. Ale, jak wszystko w ZSRR postawione na głowie, tak i tam: właściwie nie było tych, którzy nie wykonywali normy. Ktoby tam zmierzył, wiedział ile taczek ziemi zostało wywiezionych, 10 czy 20 - naradczyk powiedział, że norma jest wykonana. Jakoś nas tam trochę oszczędzano. Nie wiem, czemu to zawdzięczałyśmy. Może resztką dawnej świetności, dawnego uroku.

Potem przewieźli nas do Borowska. Wieźli nas barzą po Kamie, to niedaleko od Solikamska. Tam był tzw. lesopował, praca ciężka, trzeba umieć, wiedzieć w którą stronę będzie padać drzewo. Imało komuś kręgosłup, na szczęście żadnej z naszych koleżanek to się nie trafiło. Żadnego szkolenia, skąd! Prowadzili nas, szliśmy po pas prawie w śniegu do lasu 5 km, w buszłakach, w walonkach - przychodziłyśmy do pracy skonane, nie mogłyśmy ruszyć ręką i nogą. A trzeba było zacząć pracę. Zimno. Do 30 stopni się wychodziło, jak było więcej, to nie. Ale często było do 30 stopni, smarowali nam twarze jakąś mazią tłustą, żeby nie odmrozić nosów. Maski na twarz - to oddychać nie było można. Ale koszmar był latem, kiedy były komary i meszka taka - jednocześnie. Zakładali nam takie maski, gaza taka, ale te meszki przechodziły przez te otworki, po prostu puchła twarz. To było takie bolesne! Takie małe stworzenie, a tak potrafi dokuczyć. Żyć się już nieraz nie chciało. W lesie były takie jagody podobne trochę do malin, ale rosły nisko - morozki. Każda spragniona ich była, ale potem wyrzekałyśmy się tych jagód ze względu na meszki.

Potem miałam szczęście, że wkręciłam się do szwalni, gdzie szyto dla tych naszych naczelników sukienki, takie rzeczy i tam było trochę lżej. Ale potem niestety, zaczęła mi dokuczać choroba płuc. Codziennie miałam temperaturę, z początku chodziłam, bo do

38 stopni nie było mowy, żeby zwolnili z pracy. Wreszcie byłam coraz słabsza, straciłam apetyt. Wreszcie położono mnie do szpitala. Jak tam trafiłam, spotkałam znowu bratnią duszę. Chirurg Rosnowski, Polak wywieziony w 40 roku. Rodzina jego zginęła, nie wiem, czy gdzieś została wywieziona. Był mało mówny, surowy, ale kiedy przybyłam do szpitala, powiedział: Wszystkich nie uratujemy, ale niektórych możemy. I polecił szczególną uwagę zwrócić na mnie. Była lekarka, Karpowa, której się Rosnowski bardzo podobał - zresztą był bardzo przystojny - no i widocznie chciała pozyskać jego względy, powiedziała, że się nią opiekuję. No i miałam jakiś czas trochę odprężenia. Nie wiem, czy modlitwa matki tak poskutkowała. Zaangażowali mnie potem do pracy w szpitalu. Chodziłam, roznosiłam i rozdawałam lekarstwa, pomagałam, byłam takie piąte koło u wozu. N^o ale zawsze to to było w czystym i ciepłym. Przyszedł jednak okres, kiedy nie mogli nas dłużej trzymać, wyszło takie rozporządzenie, że politycznych trzeba oddzielić. A w tych obozach było tak: duży obóz, 5,6 tys. osób w ogóle, z tego 4 tys. mężczyzn i wydzielona zona żeńska, może 1000 kobiet. Z tego może 400 politycznych, 600 błatnych. Wydzielili nam osobny barak, bo błatnyje powiedziały, że nie będą z nami mieszkać. Bo, mówią, słuchać nie mogą, jak to wstaje taka i mówi: zdrastwujcie Maria Iwanowna, jak wy w ypczywali? Jak u was stał? Taka rozmowa. U nich zaczynała się od rana taka rozmowa: Kakuju mat, gdzie naj kn-strula itd. Więc dobrze było, żeśmy się oddzielili. Niedobre było to, że zdarzali się tacy stukacze, i to wśród politycznych b. często. Może ze strachu przed tymi warunkami i ciężką fizyczną pracą liczyli że sobie jakoś polepszą byt. Dużo zdarzało się wypadków donoszenia. Ale w tym obozie mieszanym, gdzie polityczni i recydywiści byli razem, donosicieli było mniej. Bo tam zdarzały się wypadki, że mordowano takich. Widzieli, jak co jakiś czas chodzi ktoś do śledczego, a wychodząc stamtąd na papierosa albo coś. To wystarczyło, żeby wydać na siebie wyrok śmierci. Był taki wypadek: Rosjanin, włódy chłopak

trafił do więzienia, matka ciągle starała się, pisała (była jakimś lekarzem w Moskwie) żeby go uwolnić. Stale troszczyła się o syna, to był wyjątek, takie kontakty, bo jeżeli ktoś trafiał do więzienia, to rodzina musiała się wyrzec uwięzionego. Stale więc pisała, on nie miał dużego wyroku, z frontu był wzięty, sprawa była na dobrej drodze. W związku z tą sprawą często wzywał go śledczy do siebie w nocy. Nieraz matka przez tego śledczego widocznie dostarczała jakąś paczuszkę - coś nosił. No i wystarczyło. Zamordowali, że stukacz. Matka przyjechała, żeby syna zabrać i już nie było co zabierać. Bo porąbali i wrzucili do ubikacji. To był element wyzuty ze wszystkiego. Niepoprawni trafiali w tym obozie do tzw. BUR-u, baraku usilno-wo reżima. Z resztą był to okres, kiedy nie było kary śmierci w RO-sji, chyba 48 rok. Oni mieli po 25 lat, najwyższy wymiar kary, więc nie im nie groziło. Więc byli b. niebezpieczni, nie było z nimi rozmowy, tłumaczenia się. Przegrali kogoś w karty - koniec! Ja pracowa-łam w szpitalu, byłam w męskiej zonie. Uchroniło mnie może to, że ten herszt przychodził czasem do szpitala prosić o krople na serce. To znaczy, trzeba było dać spirytusu, jakieś krople. Przekupiłam go tak, że powiedział, że włos mi z głowy nie spadnie. Kiedy mnie okra-dli, powiedziałam mu. Przyszłam, beczę i mówię: Jedną bluzkę jeszcze miałam, jedne buty - i to zabrali. A on: Czewo leliasz! Jak nie prze-pili, to dostaniesz. Na drugi dzień ja przychodzę - rzeczy wszystkie leżą. Ja szczęśliwa, a on: Wszystko masz? - Wszystko. Mineły dwa ty-godnie, on przychodzi do mnie i mówi: Cóż ty mnie nakłamałaś? Powie-działaś, że wszystkie rzeczy masz, a to! -i pokazuje 2 kawałki myd-ła palmowego, które miałam ze sobą, żeby po prostu nie zapomnieć za-pachu życia innego. No więc czasem mieli taki swój honor. Umieeli opowiadać bardzo interesująco i lubili mieć słuchaczy. Zresztą oni mieli takie przeżycia! Popisywali się swoimi zdolnościami. Czytani byli, bo była jaka taka biblioteka, a oni nic nie robili, bo nie

pracowali. Ten herszt to była największa władza w obozie. Naczelnik reżimu nieraz do niego przychodził i prosił o pomoc.

Jak ktoś ukradł drugiemu chleb - mógł być nawet zamordowany. Kiedyś do szpitala nieśli porcje chleba dla chorych (to był biały chleb) i napadli małoletki, mali chłopcy 10, 15 lat - też mieli swój wydzielony barak. Napadli i z głodu zjedli ten chleb. Musieliśmy jednak powiedzieć, że chleb zginął. Doszło do tego herszta, to zrobili takie lanie tym dzieciom, że serce się krajało. Niejeden z nas by oddał ostatni kawałek chleba, żeby przestali bić tych chłopców. Kopali, bili i mówili: Wy musicie się nauczyć, że chleba nie można nikomu zabrać, bo wszyscy dostają jednakowo. Naturalnie, gdy ktoś dostał paczkę, "dzielili" się tą paczką, szczególnie oń tych zabierali, którzy nie dzielili się ze swymi towarzyszami.

Myśmy nie dostawały paczek. Moja rodzina była już w Płsce. Czasem trafiała paczka, bo była jeszcze ciotka w Dąwińsku. Sama była w strasznych warunkach, ale czasem sąsiedzi coś dali, to przysyłała jakiś suchy ser starty na mączkę, jakieś kasze, troszkę cukru. Ale to nie ja - to my dostawałyśmy paczkę. Jak była paczka, to się wołało: Dla nas jest paczka! Kiedyś patrzę, coś było wysłane w woreczku, groch czy coś. Patrzę, nawet ładny kawałek materiału. Zastanawiam się: bluzeczka, choćby i wyszła, to tylko jedna, a nas jest przecież prawie 10. Uradziłyśmy i zrobiłyśmy 10 kołnierzyków. Czasem chciałyśmy wyglądać jak dziewczyny z Płaki. Nakręcałyśmy sobie włoski, z sadzy z mydłem tusz, kołnierzyki, chusteczki i wychodziłyśmy, żeby podenerwować trochę naszych strażników. Za tak lekko im nie przyjdzie nas złamać. I rzeczywiście robiło to wrażenie, bo naczelnik reżimu kiedyś powiedział: Btych i kołom nie zabijesz! No, była satysfakcja - nie nam nie robią, niech wiedzą, nie poddamy się, my jesteśmy wnuczki powstańców.

No, ale część chodziła na te ciężkie prace. Niektóre urzędziły się w szwalni. A zawdzięczałyśmy to naszemu "papi". To był taki starszy pan z rudawą bródką, Edward Piotrowicz Senicki. Był w łocie

legionach w 18 - 20 roku, potem go losy pchnęły jakoś do Leningradu, tam skończył studia, był inżynierem, ożenił się z Angielką (miał przy sobie jej zdjęcie i zdjęcie dwóch synów), ale niestety żona - czy z obawy, że synom może coś grozić, nie wiem - zerwała kontakt z mężem. Bardzo ubolewał nad tym. Kiedyś stałyśmy grupką i rozmawiałyśmy po polsku. Podchodzi, przygląda nam się, pod wasem się uśmiecha, ale nie mówi. Wreszcie podchodzi do nas inówi: Przepraszam bardzo, chciałbym porozmawiać po polsku, ale boję się, że będę ten język kaleczyć. Tyle lat nie używałem tego języka, a wiem, jak to boli, jak ktoś kaleczy język ojczysty. Przedstawił się i - zaczął się interesować naszymi losami. Bardzo nas polubił, nazywał nas swoimi córkami, a my jego papcio. No i nasz papcio, który już miał za sobą 9 lat więzienia, 10 ty rok dosiadywał, czekał na zsyłkę. Był starym bywalcem w więzieniu, był normirowszczykiem w tej szwalni, tzn. normował tam pracę. To była dobra praca. Kierownikiem tego zakładu była Rosjanka Maria Makarowna. Była żoną zesłańca, należała do tzw. czesceirów (czyle semi izmie-nnik rodziny). Jeżeli ktoś w rodzinie był aresztowany: mąż, ojciec, syn, to cała rodzina była represjonowana. Takich rodzin było sporo. Do zakładu przychodziła starsza pani, Olga Andriejewna, ze swoimi wnukami. Mówiła, że zięcia wywieźli, zginął bez wieści, a ją z córką i wnukami wywieźli na Ural z Władywostoku. Troszkę z nami pracowała, i ci chłopcy czasem przybiegali. Rozmawiam z młodszym, 8 latkiem, pytam, kim by chciał być w przyszłości - mówi, że pisarzem, jak tata. A drugi stoi i mówi: Głupis, ja bym chciał być kucharzem, bo w wtedy ani babcia, ani ty, ani ja, ani mama nie bylibyśmy głodni. Takie życiowe podejście u tego malucha. No, ale to dygresja.

Raz Maria Makarowna mówi, że jest zapotrzebowanie na 4 osoby do szwalni, ale prosili ją, żeby zatrudniła Żydówki. Mówi do Edwarda Piotrowicza, żeby załatwił w obozie i żeby one jutro przyszły do pracy. Nie podała nazwisk. Edward Piotrowicz poszedł do naradcy, spytał mnie przedtem, jakie mam koleżanki, ja podałam 6 i nazajutrz

przychodzimy do pracy. Maria Makarowna robi wielkie oczy: Edward Pietrowicz, eto wasze dzieło! Przyprowadził 6 Polek. Widać przypadłyśmy jej do gustu, takie sprawne. Uśmiechnęła się: Ale ta zmiana chyba wielkiej szkody nie przyniesie. On się wytłumaczył, kto i co, był szczęśliwy, z łezką w oku patrzył, jak myśmy się lokowały w pracy. Wtedy właśnie przyszedł okres mojej choroby płuc (z początku mówili że ta temperatura to na tle nerwowym), poszłam do szpitala i może to papcio rozmawiał z Rosnowskim, bo był z nim zaprzyjaźniony, może pod jego wpływem tak dobrze odnosił się do mnie ten lekarz. No a pani Karpowa, która się podkochiwała w Rosnowskim, też - nawet z domuprznosiła coś dobrego. Tak że byłam takim pupilkiem. Papcio był cały szczęśliwy, że mógł nam pomóc, ale potem, niestety, jego wyrok się kończył. Papcio był już po zawale, czekała go zsyłka (a zsyłali, wiadomo, do ciężkiej pracy, ciężkich warunków, jeszcze to gorsze jak obóz) i mówił, że chyba już tego nie przeżyje. Rozstaliśmy się w 43 roku, na pewno już nie żyje, bo to był starszy pan, wtedy miał ok. 60 albo i więcej lat. Wspaniały człowiek.

Obóz był, jak mówiłam, mieszany. Było dużo Litwinek, Ukraińców, Łotyszy, Estończyków, był nawet jeden Murzyn na okrasę, Maks. Byli Chińczycy (pracowali przeważnie jako szewcy, chlewkarze), Węgrzy, Rumuni. Skąd trafili? Trudno wiedzieć. Jedna Rumunka wyszła za mąż za oficera rosyjskiego, przywiózł ją do Rosji, już na granicy aresztowali ich (zdrada ojczyzny), mówiła nawet, że nie mogła wrócić, bo okradła ojca. Miał restaurację, więc pieniądze jakies zabrała i pojechała z oficerem rosyjskim.

Polki trzymały się na ogół dobrze, nie przynosiły watydu. Było nas może ok. 30 (jeden wagon, ale w tym wagonie było sporo takich dziewczynek, które nawet nie mówiły po polsku, słabo, ale były w polskich oddziałach, w polskiej partyzantce. Czuły się Polkami, bardzo wartościowe dziewczyny.)

Stosunki między Polkami a innymi grupami narodowościowymi. Początkowo bardzo wrogo były ustosunkowane do Polaków Ukrainki. Najliczniejsza grupa to były Ukrainki, Rosjanki, potem Łotyszki, Polki, Estonki. Łotyszki dostawały dobre paczki, bo one miały jeszcze rodziny na tym terenie, rodziny pomagały. Ale dziwni ludzie, bo nie umieli się dzielić z innymi. Może wychowane w dobrobycie nie znały biedy, ciężkich warunków, a może nie było w nich ukształtowane ludzkie uczucie litości? Dla człowieka cierpiącego. Może nie cierpiały głodu, a głód to jednak straszny wróg człowieka. Ludzie rzeczywiście tracili nieraz swoje człowieczeństwo. Jak byłem w szpitalu, stało mydło szare, kołar miało zielonkawy. Przechodził jakiś Rosjanin, pyta, co to jest. Jeden z lekarzy zażartował: powidło. Wracamy, a on już wylizywał to mydło, myśląc, że to powidło. Trzeba było przeczyścić, do szpitala. W każdym razie mężczyźni siedzieli tam, gdzie wyrzucano odpadki z kuchni, zmarzniętymi rękami grzebali w tych ściekach, bili się o rybi grzbiet, ogon, głowę od śledzia. I to wszystko zjadali. Chyba mężczyźni trudniej to znosili niż kobiety. Polaków raczej wśród nich nie było. Ale przychodzili Polacy do naszej stołówki, rozmawiali o nowościach w świecie, ale odczuwało się, gdy rozmawiali, że patrzą na nasze miski z przerażeniem, że my zjadamy tę supę. Liczyli na to, że może coś zostawimy. Czuło się (trudno już było przełknąć), że czują się na te resztki jedzenia. Odłożyłaś łyżkę - kilka rak wyciągało się po tę miskę. I to byli ludzie czasem z wyższym wykształceniem. Głód doprowadził do tego, że nie panowali nad sobą. To było przykre, bo nie można było nikomu pomóc.

Warunki życia miejskiego raczej ludzi rozhartowywały. Chłop może nieraz niedojadał, był przyzwyczajony do pracy fizycznej, zjadał byle co. Dla inteligencji to był straszny szok. Oni drżeli, żeby przeżyć za wszelką cenę. Wiadomo, każdy chciał przeżyć i wrócić. Godność? - trudno mówić o godności. Czyto myślało się tak bardzo o godności, jak człowiek był tak głodny... Jedna myśl była: żeby coś

zjeść. Niektórzy mogli opanować się, niektórzy nie. Trudno. Zatem opanowywała się chyba inteligencja. Może krępowali się. Bo prostakom wszystko jedno: zje byle co, chwyci, odbierze, ukradnie. Inteligencja tego nie robiła. Fizycznie może byli słabsi, ale czy psychicznie? Nie uogólniałabym tych spraw.

Był z nami taki pan Topilin. On akompaniował Ojstrachowi, pianista. Kiedyś pod wpływem naszego papcio zrobił nam niespodziankę. Przychodzimy do stołówki w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, stał tam fortepian (bo u nich kultura, jak zwykle, na pierwszym miejscu). Na stole bałanda, ta ciulka, gorzka zupa jak zwykle, oczy rybie po niej pływają i brunatny albo zielony liść kapusty - i rechem słyszymy Wśród nocnej ciszy. Papcio nauczył p. Topilina kolędy. Topilin był niewalną, czyli sprzętaczem u lekarzy, chcieli go jakoś uchronić bo on przeżywał bardzo, że jego ręce przestaną pracować ("zobaczcie, co z moimi rękami, zimna woda, podłogi...") Jego potem zwolnili, Ojstrach się postarał. I on zagrał to Wśród nocnej ciszy. Naturalnie śmiechy, a papcio wychodzi, tylko mu się bródka trzęsie triumfująco, patrzy na nas. Ciągle do niego wracam, bo to był nasz dobry duch.

Wracając do sprawy stosunków między narodowościami, to Ukrainki, te które były w zachodniej części, tej, która była przed wojną w Polsce (od tych banderowców, własowców) - miały nienawiścią do Polaków. Niemniej mówiły: O, wtedy nam się żyło dobrze. Łapałam je za słówka: To za co nienawidzicie Polaki? - A bo były wypadki, że było źle itd. - Ale wam? Ta nienawiść była podsycana. Np. takiej Marysi Lewickiej, która studiowała medycynę, ja z nią pracowałam i ona ze mną rozmawiała po polsku - Ukrainki robiły z tego powodu przykrości. Jak ona może rozmawiać po polsku! Wreszcie tylko w pracy rozmawiałyśmy po polsku, bała się szykan. To proste dziewczyny - mówiła do mnie - nie może im zaskoczyć. Trudno powiedzieć, skąd się brała ta nienawiść. Może Rosjanie ją wpajali, jak wkroczyli. Może istniała już przed wojną. Z Litwinami nie spotykałam się w Wilnie przed wojną

nie słyszałam w ogóle j. litewskiego w Wilnie, choć podobno było gimnazjum litewskie, wsie litewskie tam gdzieś koło Ignalina - to nie czuło się nienawiści do Litwinów. Bo je ich nie znałam i nie widziałam. Dopiero w czasie okupacji Litwini wspólnie współpracowali z Niemcami, kiedy nas rozstrzeliwali. Przypominałyśmy sobie z siostrą, jak widziałyśmy pierwsze rozstrzelanie. Szauliści, włoźci chłopcy jechali na rowerach. Koło Dryświat był mostek, pod mostkiem płukałyśmy z siostrą bieliznę. Raptem mijają na tych rowerach chłopca z wiaderkiem. Szedł podobno doić krowy, bo tam pasły się krowy. Żydzi je wiali. Szedł w południe. Oni zsiadli przed mostkiem, podchodzą do niego i pytają: Żyd? - Tak. - Bez słowa wyciągnęli pistolety, raptem salwa - strzaili w niego. Przebiegł jeszcze kilka kroków w stronę rzeczki, wydał przeciągły jęk i upadł tuż przy rzeczce. Oni wsiadli na rowery i odjechali. Potem mówili nawet ich nazwiska, że są znani, Litwini, szauliści. Wtedy nawet Niemcy nie prześladowali jeszcze Żydów, jeszcze nie byli w gacie. Już się mówiło, że będą jakieś skupiska, getta. A to była akcja indywidualna, na pokaz. Dla przyjemności? Dla pokazania, że jesteście władzą? - Nie wiem.

Czy ekstremalne warunki zbliżały czasem ludzi w obozach? Tak, na pewno. Ten głód jakoś nas zbliżał. Cierpieliśmy wspólnie, ten sam ból, te same kłopoty nas trapiły, to na pewno zbliżało. Ale np. te, które dostawały paczki, separowały się od tych biednych., nie chciały utrzymywać jakichś kontaktów. Biedne z biednymi jakoś znajdowały wspólny język. Może tantym przechodziły wtedy do głowy jakieś antagonizmy na tle politycznym? Może wyszukiwały w przeszłości jakieś zale. Ale te biedne czuły się tak samo pokrzywdzonymi ludźmi. Głód zbliżał. Ale, zaznaczam, te, które otrzymywały paczki, były inne. I padały często ofiarą recydywistów, bo oni ziali nienawiścią do tych którzy nie umieli się dzielić ze swymi braćmi. Mówili: Zobaczcie, ona dostała paczkę, schowała wszystko, z nikim się nie podzieliła.

A do nas jak ktoś przychodził i miałyśmy trzy cebule, to proszę bardzo. Brał jedną, nie wziął wszystkiego. Kiedyś jedna Rosjanka, starsza pani, Zofia Adelberg, Żydówka, chemik - dała mi jabłko. A tam jabłko to był wielki rarytas. Patrzy i mówi: Zjedz. A ja się kręcę. Ona: zjedz. Ja, że nie, może potem. Uśmiechnęła się pod wąsem i odeszła. Za chwilę przychodzą moje koleżanki, a ja mówię: Słuchajcie, mam coś wspaniałego! Zgadnijcie. Naturalnie nikt nie zgadł, pokroiłam jabłko na 10 części, każda wzięła po plasterku. Śmieje się. Opodal siedzi pani Zofia Adelberg i taka Olga Aleksandrowna i zaśmieją się. Pytam, dlaczego się śmieją, a tania mówi: Bo Zofia powiedziała "zobaczysz, że nie zje, podzieli to na 10 części". Siedziały i obserwowały, mając już nasze stosunki. Kiedyś Jasia Latoszek zachorowała, początki gościa postępowego (już nie żyje), zapalenia płuc. Trafiła do szpitala. Wielkie szczęście było trafić do szpitala, bo to inna żywność i - mleko. Nie piłyśmy mleka przez lata. I raptem Jasia daje znać: Dzisiaj dali nam po kubku mleka, trzymam to mleko i chcę, żebyście spróbowały, jaki ma smak. I ona na sznurku ten kubeczek spuszcza przez okno, cała grupa tam stała, żeby spróbować po łyżka. A ona szczęśliwa, że znika z kubeczka to mleko! To są drobiazgi, ale to się pamięta. Nie, nie byłyśmy z jednego baraku, to były różne baraki a więc narodowościowa. Ukrainki niektóre też sympatyczne. Te mądrzejsze, inteligentne, ^{nie} ~~nie~~ były ^{zaciętrzewione}. Bo inne miały nienawiść. Jedna kiedyś mówi: Ja siedzę, ale jestem szczęśliwa, jak widzę, że Polacy też siedzą. Mówię: Co ci zrobili Polacy? - Bo oni kiedyś mordowali naszych. - A wasi nie mordowali? To mamy tak się nienawidzić, szarpać nawzajem?

Teraz z innej beczki. Sfera uczuciowa. Młodość ma swoje prawa miałam wtedy 20 lat. W szpitalu dr. Rosnowskiego pracował lekarz, starszy ode mnie, miał 27 lat. To był Holender, który w 33 roku mieszkał już w Rosji, wśród Niemców nadwołżańskich. Staropol? Studiował

był na medycynie. Do Rosji trafił tak: Ojciec komunista holenderski pałał wielką miłością do komunizmu, widział te piękne idee i postanowił przenieść się z Zachodu do świata, gdzie wszyscy są wolni, równi wspaniali. Zabrał całą rodzinę i przyjechał. Cóż zastał? 33 rok, straszny głód na Ukrainie. Od razu stał się podejrzany. Bo któż to dobrowolnie przyjeżdża? Tylko szpieg mógł przyjechać z dobrych warunków do ciężkich. Ten lekarz mówił, że nie wie, co się z ojcem stało, ale w tę samą noc (przyjazdu) - zniknął. Może i sam popełnił z rozpaczy samobójstwo? Zostawił trójkę - matka, siostra 5 lat i on 3 lat. Matka chora, szybko zmarła, tak ją to przygnębiło. Ta mała siostra została pod jego opieką. Jak zarabiał: robił co popadło i tę siostrę wychowywał, opiekował się nią. Opowiadał historie, jak gdzieś zdobył kawałek chleba, jak mu ten chleb odebrali, napadli, jaka to była rozpacz. W szpitalu Karpowa przedstawiła mi go jako lekarza, który się będzie mną szczególnie opiekował. Sympatyczny i kulturalny, taki sobie blondas, takie nic, ale dobrze się z nim rozmawiało. Ułożony, grzeczny. Był na 5 roku medycyny jak wybuchła wojna. Z uczelni w czerwcu 41 zabrano go do więzienia jako element niepewny i dostał 10 lat. Trafił na Ural i tam pod opieką tego Rosnowskiego, u niego się specjalizował. Rosnowski był chirurgiem, uczył go. On uczestniczył w operacjach. To był dziwny człowiek. Chorzy nazywali go Griszą, a on był Gerard GISTZ. Mówili, że jak Griszę ma dyżur, to ich nie boli Prawda, on jak mógł gdzieś zdobyć środki znieczulające, które były tylko dla wolnych, broń Boże dla więźniów, to trochę skubnął, jak wiedział, że ktoś cierpi. Był takim dobrym duchem. Kiedyś przychodziłem do dyżurki, siedzi Gerard i mówi: Przed chwilą wręczono mi list z prośbą, żebym ci wręczył. To napisał taki Wania chudoźnik, bardzo mu się podobasz, widocznie chciał wyznać swoją miłość. I mnie obserwuje. Ja mówię: Bardzo dobrze, że nie zabrałeś tego listu, bo wiem, co w tych listach jest. To jest pierwszy krok do nawiązania znajomości, z początku może przyjaźnielskiej, a potem na pewno zdążającej do czego

innego. Bardzo dobrze, że nie wzięłaś. Nie czytam i nie odpisuję na takie listy. A on tak popatrzył i mówi: Jak mi się dobrze Polki, prowadzicie, jak mi się to w was podoba! No i ciągle mnie obserwował. Chodziliśmy razem, całe noce przegadaliśmy, znał moją rodzinę - trzeba było o czymś gadać. On miał dyżur, tośmy tak siedzieli i gadali. Wreszcie dr Karpowa poszła na urlop, przyszła inna lekarka, zobaczyła, że taka żania chodzi po szpitalu i "zaraz wypisać do pracy". I koniec, powiedziała, że jutro mnie wypisuje. Ja tak stoję, a była tam kobieta, która urodziła dziecko. Bo były jednak kontakty z mężczyznami, zdarzało się, że rodziły się dzieci. Kobieta cierpiała, bo miała zapalenie piersi, dziecko płakało, więc wzięłam je na ręce i chciałam uspokoić. Gerard usłyszał, że dziecko płacze, przychodzi, nachyla się do dziecka i mówi: ty płaczesz, szkoda ci Loli, ja też bym płakał, ale tobie można, boś ty mały, a ja jestem duży. I wybiegł z pokoju. Myślę, co to jest, do głowy mi nie przyszło, że to może być jakaś sympatia, dziwnie się zachował. I dopiero później, poszłam już do pracy, wezwali mnie na kontrolę (od czasu do czasu nam kontrolowali stan zdrowia) i wtedy on się przyznał, że się we mnie kocha. Mówię, że nic o tym nie wiedziałam, a on, że o to właśnie chodziło. Znając nasz stosunek do tych wszystkich miłości w obozie, nie chciał zepsuć przyjacielskich kontaktów. Czyż byłyby tak wspaniałe nasze wieczory, gdybym wiedziała? Był więc szlachetny i dobry psycholog. To takie jasne, czyste wspomnienie. Miałam wtedy 20 lat, może byłam za smarkata.

Stamtąd był transport pierwszy do Marylska. Tam pojechali Wila Z agórska, Zosia Matuszewicz, Tadzik Nagłowski. Mnie po szpitalu (jakaś graficzna zanotowana) skierowali do Nordowskiej ASR, Pągiewossobiennowo reżyma, wzmożonej kontroli. Tam byli już tylko polityczni, nie było więźniów kryminalnych. Może to był Recziąg. Nosiliśmy numery katorżnicze, przedtem chodziło się we własnych ubraniach. A tu nam zbrali wszystkie ubrania, były złożone na przechowaniu w

tw. kaptorce. A my dostałyśmy umundurowanie, te straszne sukienki, na nich chlorem przybijane numery. Maczali taką dużą, olbrzymią (10 cm wysoko) pieczęć w chlorze, chlor wyzerał barwę materiału - z daleka widać było numer. Już nie byłam żadna Marcinkiewicz, ale NW 526. My przyjęliśmy to obojętnie, natomiast Rosjanki przeżyły to strasznie. Gdy przedtem porównywałyśmy obozy niemieckie i radzieckimi (była ze mną kol. Ilona Fiedorowicz) która z niemieckiego obozu trafiła do rosyjskiego. 2 tyg. tylko miała przerwy. Mówiła, że różnica tylko w tym, że tam czyhała na nich śmierć, my zaś nie czuliśmy, że nas w każdej chwili mogą zamordować. Owszem, wyzyskać, wyćmąć ostatnie soki pracą, normą, zmianami nocnymi, pylicą, warunkami), bo przedtem zawsze mówiły: Jednak tu lepiej, bo nie ma numerów. Więc przeżywały to strasznie, że teraz zupełnie jak u Niemców.

Jak nas przywieźli do tej Mordowskiej ASRR, z naszego obozu były tylko trzy osoby: jedna kobieta w ciąży, druga pani Walecka, która miała bardzo zaawansowany reumatyzm no i ja po szpitalu. Noże i Rosnowski zadziałał, żeby mnie nie wywieźli na Syberię, wystawił kartę choroby, żeby mnie uchronić od czegoś straszego, bo w Narylsku były surowsze warunki. A tu było niedaleko Moskwy, klimat zbliżony do naszego. Przywieźli nas do Moskwy na tę Krasną Presznie i dalej wieźli do Żagrów. To jest na południowy wschód od Moskwy: Mordowskaja ASRR, stacja Poćma, posesje Jawaś. Rosjanie mówili w żargonie więziennym, że nasz adres to ~~jakxxxxxxx~~ "ja was po ómach po mordzie".

Chodziliśmy na kopalnię torfu. Były też lasy, piłowało się lasy. Ale była też fabryka bielizny, szyłyśmy dla wojska szynele. Obóz był nastawiony na szycie, ale były też brygady, które chodziły na czarne roboty. Była tam elektrownia na torf, trzeba było ten torf kopać, przywozić, wyładowywać wagony. Zabezpieczać obóz, dostarczać drzewa do piócyków itd. Ale w zasadzie większość szyła. Ponieważ szyłam na Uralu, wzięli mnie do tzw. zakrojnego cechu.

Trzeba było układać warstwy, 50, 60 warstw, na to kładło się namierkę - cały ten produkt w detalach. To wszystko musiało być mieścić się w ramce, żeby nie zużyć więcej, niż przewidywała norma, materiału. Ze mną pracowała ta Marysia Lewicka, studentka medycyny ze Lwowa i druga Ukrainka, Grodzieńska Wiktoria. Jej ojciec był lekarzem, też siedział, byli z tej nacjonalistycznej grupy. Ale to była inteligencja. Nie pałali nienawiścią do Polaków. Z nimi można było normalnie rozmawiać. Tłumaczyli, że owszem, chcieli odzyskać niepodległość. "Tak jak wyście szli z Napoleonem, żeby wywalczyć swoją niepodległość, tak myśmy się widzieli u boku Hitlera. Zrobiliśmy błąd, ale widzieliśmy niepodległą Ukrainę u jego boku". Tak tłumaczyły. One też były w jakiejś organizacji z terenów dawnej Polski, to były kulturalne dziewczyny. Wśród Rosjanek też były b. inteligentne kobiety, m.in. była taka pracownica ambasady Holandii czy Belgii. Aresztowana, trafiła do naszego obozu. Osądzona na 15 lat. W obozie specjalną uwagę jej poświęcali dyżurni, obserwowali, żeby niczego nie pisała. Ale mówić jej nikt nie zabraniał. Każde ciekawe zdarzenie w obozie miało odbicie w jej wierszach. Np taka sytuacja: Pracowała taśma, maszyny elektryczne, wszystko włączone, huk. Była noc Wielkanocy. A pracowały tam Ukrainki, Litwinki, Łotyszki, Polki - wszystkie katoliczki. I raptem taśma została wyłączona, wszystkie wstały i zaśpiewały "Wesoły nam dzień dziś nastał". Tak to wszystko huknęło, że raptem, nie wiadomo skąd, ptaszek, który gdzieś w hali był uśpiiony zaczął krążyć pod sufitem i wreszcie trafił do wentylatora. I zginął spaść. Lidia Borodina napisała na ten temat wiersz, nie pamiętam go ale było tak, że jak wielki jest pęd do wolności. Ptaszek usłyszał że wesoły nam dzień dziś nastał, uwierzył i chciał wylecieć, ale trafił w ten szumiący wentylator i poniósł śmierć. To był piękny wiersz, nie pamiętam, a szkoda. Gdyby gdzieś te wiersze wydali, było ich dużo. Była osoba, która donosiła. Stukacz taki. Takie niewiniątko, biedna sierotka, chodziła sobie i ciągle tylko podsłuchiwała.

Dadzą jej jeść, nakarmią, to ona za chwilę pójdzie do dyżurnego i powie, że tam mieli wyostrzoną blaszkę i krili kanapki. Za chwilę rewizja - jak znaleźli, to 5 dni karceru o chlebie i wodzie. I Lidia kiedyś napisała na jej temat (obie były Rosjankami):

Taty nietu, mamy nietu
Sowier spriatana w karman
Ja rabotała w gestapo
A paton dla Angliczen
Ná wieti, ja nie wrak siebie
Ja rabotaju toże
Tolko už dla NGB

Kiedyś poszła do lekarza, przyszedł akurat śledeczy, tzw. operupelno-moczennyj i prosił o luminal. I ona zaraz (nie mówię wierszem, bo nie pamiętam): Grażdanin naczelnik, ja słyszała wczora, czto wy prosili nieskolko tabletek luminala - pan nie spi? I tutaj cały obraz tego straszego obozu, tych starych kobiet, które miały już po 80 lat i tych dzieci, które nie ukończyły jeszcze szkoły. Refleksje. Nie mogła mieć nic pisanego. Jeden ze swych wierszy dyktowała kilku osobom, Polkom. Polki już wiedziały, że pojedą do Polski, to było już po śmierci Stalina i chodziły słuchy, że Polki będą wyjeżdżać w pierwszej kolejności. Chodziłyśmy spacerując i ona mówiła po jednej zwrotce, żebyśmy zapamiętały. Gdyby napisała, zaraz by skonfiskowano. Potem ja nauczyłam się tego na pamięć. Bardzo możliwe, że mi się pokręciło coś w tej chwili, ale cokolwiek jako tako postaram się oddać.

Z apomnij drug i pieredaj wiekam
Czto było wriemie atamy i tiurem
Poszczady nie było ni junoszan, ni starikan
Zakon i czest - wsio było smiato buriej.
Puskaj moj stich istoriki najdut,
Kagda w pyli archiwnoj rojab
gotowit`stanut mnogotennyj trud

O żyzni naszej, o jejo gierojach.
Nasz wiek otmieczen był bezczestiem i kłój,
A dyplomaty nie szczadia nagruzki
Codami i sierożno obsuǳali,
Możno li Czilijcu soczitiśia brskom s ruskoj.
Krowoju pierieniesie wojnu,
Izmuczonyj dawstwom, stradenijem, plenom
Narod, wiernuwszijsia w radinuju stranu
W W konclagiery był broszon za izmienu.
Wzriaszczionnyj kosonożom oficer,
Lelajawszyj wiecztu o komunizmie,
Był sowieszczaniem CK SSR
Iiszon na czetwiert`wieka wolnoj żyzni.
Otdielnuju isstorii daj gława o Zagierach,
W rozdiele o zakonie,
Ja możet cyfr tiebie nie nazywu,
No nie soǳu o żyzni w strasznoj zonie.
W kwadracie za wysokoju stienoj
(wot eto tak nazywełas`zona)
po..... po piatdiesiat wosiem
Stacia dla obsuǳienija szpionow.
Staruch niegramotnych, dieriewiaskich bab,
Dieta niekonczaiwszich jeszcze i sakożu,
Nie nazbierajas`kto zdarow, kto słab,
Brosali sotniami za szastokoły.
A w eta wriemia w mirie szoǳ kongres
Pod łozungom za prawa czelowieka,
I russkij dyplomata iz koży les,
Cztob`oswabadit`iz tiurem Grekow.
P Po wsiej Jewropie sławien był soǳet
Proszedszyj put`ot Wołgi do Berlina

S błagorodnom mużestwom duǵaǵ pǵakat
Izobrazawszyj Rossa (?) i Stalina.
Ja nie na kartinkie, na jawu
Widała błogorodnego sołdata
I do siah por, pokuda ja żywu
Mnie nie zabyt`ni branliwono (?) ni mata.
Ja widieła kak ženszczyna biez nog
W wagon iz nositek on kak jaszczyk brosił,
A ženszczyna była swobodna, srok nakazania
Okonczen był w tu osieć.
Nieszczastnaja upała na połu
Zastriaw w dwieriach tiurenego wagona
A on nad nieju poryczał chułu
Zaszczitnik prawyj prawowo zakona.
I tak my żyli, i diesiatiletia szli,
My sabywali, kak strujatsia riekki,
Kak wygladiat moria i karabli
Kakije nowosti w dwadcataom wiekie.
Wo odnu istinu poznali my skwoz`boj
Tam, gdzie swobody epigramy w modie
Tam niet jejo.
Potomok moj, pozwol tiebie skeszt`
Dwa słowa o swobodie:
Kak sołnce, wozduch i woda
Ona dołżna byt`żyzni nieatiomnoj czastiu,
A kol`o niej zabudieszę to togda
i nazowi nasz wiek wielikim szastiem.

Teraz kilka słów na temat autorki. Pracowała gdzieś w Ambasadzie w Belgii czy w Holandii, zaraz po wojnie została aresztowana jak wracała do kraju, ona i jej przyjaciel, o którym pisze w tym wierszu

że dostał 25 lat - razem zostali aresztowani na lotnisku. Wspominała kiedyś, że miała przyjemność rozmawiać z naszym pisarzem Brandysem, nie wiem, którym. Wiem, że była z Leningradu i że została osadzona na 15 lat, ale co się z nią stało, nie wiem.

Takie sprawy jak moja (byłam nieletnia aresztowana) po śmierci Stalina rozpatrywane były w pierwszej kolejności. Po rozpatrzeniu sprawy byłysmy zwalniane. Stalin umarł w 53 w marcu ale to rozpatrywanie sprawy trwało, bo mnie zwolnili dopiero w 54 w maju. Był niby taki sąd, niby rozpatrzenie sprawy. Miało to wyglądać tak, że tę wolność zawdzięczamy władzom, które nas poadziły i za nasze sprawowanie oni wspaniałomyślnie skracają nam wyrok. Noż mój skrócili o pół roku. Oszczędzili mi że zsyłki, która była niejednokrotnie gorza niż pobyt w łagrze. Bo tam było całkowite bezprawie, to był koszmar. Koleżanki, które były na zesłaniu opowiadają, że jak przyjeżdżał transport, to stała grupa mężczyzn i mówili tak: Jeżeli są kobiety, to to pierwsza moja, druga twoja... i wychodziły kobiety. Więc komu jaka trafiła. Była młodsza, to miał szczęście, starsza, co robić: będzie mu gotować. ZTo były koszmary, które nas czekały po zakończeniu wyroku. Zwolnienie wcześniej o pół roku dawało szansę powrotu do normalnego życia. No, normalnego... Moi rodzice byli we Wrocławiu, ja tam, rodziny bliskiej tam już nie było. Była ta ciotka, pokrewieństwo z nią trudno się dogrzebać, ale sercem i duszą to była bardzo bliska osoba. Była pośrednikiem między mną a moimi rodzicami. Moje listy do niej ona wysyłała do Polski. Nawiazała też kontakty z moimi koleżankami, z kolei przysyłała adresy koleżanek swoich, na które to adresy mogły znówu moje koleżanki wysyłać listy. Do swoich rodzin, bo bezpośrednio do Polski nie wolno było nam pisać. Więc to był taki dobry duch ta nasza Marysia. Ona właśnie była w Dźwińsku, zresztą tam było dużo Polaków i to byli wielkimi patriotami i zawsze mówili, że nie mogą darować Piłsudskiemu, że Dźwińska nie przyłączył do Polski. Ten żal jeszcze w nich jest. No ale Piłsudski nie mógł tak dużo załatwić.

Smierć Stalina. Kazali nam rozpaczać. Wspaniale to robiły Żydówki które powiedziały, że nie mogą iść do pracy, bo to tak, jakby umarł ktoś najbliższy z rodziny. Leżały i czytały książki, jak wchodził dyżurny, to zalewały się łzami. Chore, głowy zawinięte. Robiły szopkę. A to były komunistki, starsze kobiety i zawsze mówiły "my komunistki". Taka była Tatiana Makarowna, do której mówiłam: Ja siedzę, bo jestem P_olką, ja widziałam was tylko z tej strony jak zaczęliście wywozić, znęcać się nad Polakami, aresztować naszych żołnierzy, którzy walczyli z N⁺encami, jak staraliście się pozbawić nas wszelkiej godności - ja znam Rosjan z tej strony. A wy, Tatiana Makarowna, wy wychowana w tym ustroju, nadal mówicie, że jesteście komunistką. Nie rozumiem was. A ona mówi: Gdzie drzewo rąbią, tam drzewki lecą. Ja nie mam żalu. To była pomyłka. To ja na to: Markowna, spójrzcie dookoła, nie za dużo tych pomyłek? Były starsuszki po 80 lat. Pytam: B^Abciu, za co siedzicie? - Za kołoski. - Co to znaczy? Kłosa zbierała na ściernisku, żeby nakarmić rodzinę. I za to, że demonstruje głód głód w Rosji, była politycznym więźniem. Była taka babcia, fartuszek sobie uszyła z kawałków-odpadków z tej szwalni, uszyła czepek z flanelki. Z poczuciem humoru babcia. Mówi kiedyś: Mówia, że Amerykanie przyjadą oglądać nasze obozy (my się śmiejemy - kto by ich wpuścił?) i jak oni przyjadą, to ja tak wyjdę i skażę: Pođiwite zagraniczne, jakie u nas polityczne! To była Ukrainka. I rzeczywiście to był ob-raz więźnia politycznego!

Od czasu do czasu było sprawdzanie naszych danych. Więc kiedy padło moje 58, 2, 11 - Tatiana Makarowna zrobiła wielkie oczy. Zaczęła szeptać coś do swojej koleżanki. P_okazuje na mnie. I tamta do mnie: Słuchaj, ty masz taki straszny paragraf, coś ty robiła. Ja mówię: Nie wiem, jaki paragraf, jaki chcieli, taki dali. Chcieli nam dać 58 i A, wiedziałyśmy, że to zdrada ojczyzny, tośmy zaprote-owały. W sądzie. Właśnie Stenia Szanterówna. Powiedziałyśmy, że to bzdura, nie zdradziłyśmy ojczyzny.. Dobrze. To dostaniecie gorszy.

I dostaliśmy 2 11. A 2 11 to jest grupowe zbrojne powstanie przeciw sowieckiej władzy. To bardzo groźnie brzmi. Więc jak ona mi o tym paragrafie, to ja mówię : Tatiana Markowna, proszę spojrzeć na te staruszki, które mają t e r r o r. Pytają babki jaki u niej paragraf. - A , synok, ja nie znam. To on wreszcie czyta i mówi: Babuszko u Ciebie terror! - Synoczok! Wot u mnie Aleksandr Nikita, no Terrora niet! Tierrora u mnie nie było! Ona nie wiedziała , co to paragraf. Owszem, może nakarmiła gdzieś tam swoich synów, którzy byli w lesie. Pomagała "terrorystom", jak to oni nazywali. A siedziała jako wielka terrorystka.

Wracając do Tatiany Markowny. Była w czasie wojny jakimś tam politrukiem, wечно się chwaliła, jak to ona do ataku wzywała i wszyscy za nią szli. No i była wielką komunistką, a śmierć Stalina przeżywała dziwnie. Wynknęło jej się kiedyś zdanie : wiesz, teraz, jak Stalin umarł, będzie lepiej. - To dlaczego pani płacze? - Bo myśmy się już tak przyzwyczaili, że sobie życia bez niego nie wyobrażamy.

Dzień pogrzebu Stalina: włączyli głośniki, wszyscy musieliśmy stać na baczność pod tymi głośnikami. Ponieważ to było w baraku, nikt nie pilnował, myśmy sobie usiadły w swoim kąciku, zagrodziłyśmy się takimi firaneczkami, żeby nikogo nie widzieć. Każda coś dłubie, coś robi. Nagle słyszemy głos: dyżurna! I do nas: Jak wam nie wstyd, tu pogrzeb takiego człowieka, a wy siedzicie i opowiadacie jakieś bzdury i śmiejecie się. Przerażenie naszych koleżanek, nawet Ukrainki, Rosjanki i Lotyszki były przerażone że nas chyba rozstrzelają za zniewagę takiej chwili. Ale jakoś skończyło się na zbesztaniu nas. A Tatiana Markowna jakoś potem zmiękła. Kiedy wyjeżdżałam, nie darowałam sobie : Tatiano Markowna, chyba nie jestem takim wrogiem, wypuszczają mnie wcześniej niż panią. Życzę żeby i pani wyszła.

No i rzeczywiście wyjechałam, na razie do Dyrnburga, do cioci Marysi. Teraz już jestem wolna. Przedtem było coś w rodzaju sądu.

Trzy osoby "ze społeczeństwa", jakieś babki w chustkach i kilku wojskowych. Musieliśmy wyjść prawie wdzięczni za to, że nas trzymali. Wreszcie mamy wyjechać. Dużo naszych Polek nie miało do kogo jechać, ja miałam tę przyszywaną ciotkę na terenie Łoteckiej Republiki. Moja koleżanka, Jasia Latoszek, miała ojca w Polsce, matka jej dawno umarła. Przerazenie ją ogarniało - co ona będzie robić, dokąd pojedzie? Ja miałam szczęście, trafiłam do tej pierwszej tury i pojechałam do Dźwińska. Dźwińsk - Dyneburg - Daugavpils, zależy od epoki. Jechałam 5 dni przez Moskwę. Wreszcie dotarłam wczesnym rankiem, był początek czerwca, a ja w płaszczu zimowym, aresztowali mnie w nim. Pytam ludzi o ulicę, każdy mnie z dołu do góry mierzy wzrokiem, mówią, że chyba z daleka przyjechałam. Tak, z daleka. Po drodze powiedziałam, do kogo idę, tak, znają, znają, wskazali mi. Ledwo się nacieszyłam ciotką - zjawiają się różni: jedna niesie beczkę, druga kawałek kiełbasy. - Słyszeliśmy, że ta kuzynka przyjechała, która była w więzieniu, a pani ma ciężkie warunki...-Ciotka miała ciężkie warunki, syn w średniej szkole, córka w Rydze studiowała medycynę, ona sama sprzątała w muzeum. Przed wojną była nauczycielką, potem mąż pracował w konsulacie polskim na Łotwie, w 39 roku wyjechał z pracownikami konsulatu do Szwecji, a ona w tym czasie u rodziców w Dźwińsku czekała na rozwiązanie. Miał się urodzić syn, Jurek, którego ojciec nie widział. Została sama. On się nazywał NISZWITRYN Mappert (chyba słyszałam w Wolnej Europie?). Wiec ciotka sama w ciężkich warunkach, zaopiekowała się mną. Cała polonia Daugavpilsa była bardzo serdeczna, ciepłe uczucia wywozłam z Dźwińska. Trzeba było oficjalnie zakatwić swój wyjazd do rodziców. Pojechałam do Rygi, tam musiałam w 7 egz. pisać swój życiorys. Jedną kartkę mi zabierano, drugą dawano. Pisz jeszcze i jeszcze. Wreszcie mnie spytał, dlaczego nie pojechałam do Wilna. F rzecież w Wilnie byłam aresztowana. Mówię, że wiem, że polityczni nie mogą mieszkać w większych miastach. Ale wy możecie. Bo u was napisano: ze snakiem

sodzimosti. Nie wiem, co to jest. A, to tak, jakbyście nie siedzieli. Myślę sobie : dziękuję! Moje 10 lat to się nie liczy. W każdym razie powiedział, że mogę nawet mieszkać w Wilnie. W Wilnie miałam koleżankę (dotychczas tam mieszka), więc odwiedziłam Wilno i czekałam na zezwolenie na wyjazd do Polski. Stało się to przed B. Narodzeniem. Dostałam wezwanie do Rygi, żeby odebrać zezwolenie. No, było pośeganie, pamiętam tego Jurka. Modlimy się, ciocia mówi: módlmy się, żeby ciocia Lola prędko wróciła do Polski. A on: Ot, mama, nie wypada, Lola jest naszym gościem! Teraz jesteśmy z nim w wielkiej przyjaźni. Byłam w Rydze zaproszona przez Jurka, teraz jest specem, inżynierem w kombinacie papierniczym na całą Łotwę. Odwiedziliśmy w Dźwińska starców znajomych, dużo już nie żyje, miłe wspomnienia w każdym razie zostały, tyle ciepła okazanego przez Polaków w Dyzemburgu.

Przyjechałam do Polski, na dworzec wyszedł brat, którego nie poznałam. W Białej Podlaskiej nie byłam. My byliśmy pierwszymi jaskółkami, nie jechaliśmy całym transportem, lecz pojedynczo. Myśmy prawie rok wcześniej przyjechali, to był grudzień 54 rok, a koleżanki moje z Narylska przyjechały w 55 a nawet w 56 roku.

Więc rodzina na dworcu, brata nie poznałam (miał 13 lat, teraz 23, zmienił głos i wygląd). Ale jak wszłam do holu, zobaczyłam mamę - poznałabym na pewno. Ojciec też się nie zmienił, naturalnie postarzał. Jak przyjechałam, to ten mój dokument, tę "sprawkę", gdzie napisano ojciec zaraz zaniósł do radcy prawnego. On czyta i mówi, że jestem w pełni rehabilitowana. I że właściwie należy się odszkodowanie, zajmie się tą sprawą. Ojciec na to: Fanie, pan jest z Poznania, pan nie znasz Ruskich, oni znajdą winę, żeby nie dać tego rubla, zostawmy ich w spokoju - może kiedyś przyjdzie czas, ale nie teraz, nie teraz...

Przyjechałam, myślę: trochę odpocznę, ale strach mnie ogarnął, co teraz będę robiła. Moja polszczyzna była trochę nadszarpnięta,

nieraz powiem słówko - cała rodzina śmieje się. - Powtórz, powtórz, jak ty to powiedziałaś? Troszkę byłam jakaś przygnębiona, niezadowolona, zdawało mi się, że nie potrafię tutaj żyć. Akurat był okres świąt. Przyjechałam 31 XII 1954, 1 stycznia miałam urodziny. Jakbym się narodziła ponownie. W domu w porównaniu z tym, co było na terenie ZSRR, żyło się dostatnio. Nie było głodu, nie trzeba było stać po mąkę godzinami, jak w Wilnie, gdzie jak zostawiłam wyjeżdżając koleżance bony na mąkę, to była taka szczęśliwa! Już w pociągu pytałam jak tam jest w tej Polsce, czy można dostać mąkę - świech w przedziale: O czym pani mówi, z jakiego świata pani wraca? - No, chyba nie z tamtego - mówię. Proszę pani, u nas są delikatesy, tam można kupić wszystko, jak przed wojną w sklepie kolonialnym! Przyjechałam jak do innego świata: galluksy, ubrania, bielizna, buty węgierskie, takie, siakie. Siostra chwyciła mnie i musimy cię ubrać. Przychodzimy do sklepu, kupujemy, nie trzeba stać w kolejkach, nie trzeba mieć znajomości, żeby to kupić - inny świat! Ale patrzę - stół zastawiony, masa gości, wszyscy szczęśliwi; syn marnotrawny wrócił na łono rodziny, a mnie coś ściska. Myślę: a one tam, Boże! Żeby choć kawałeczka z tego stołu mogły popróbować! One nawet nie mają pojęcia, że ktoś siedzi przy tak zastawionym stole! Nie wytrzymałam, uciekłam do pokoju rodziców pod pierzynę i musiałam się wyrzucić. Przychodzi mama z siostrą, co się stało z Lolą? Co się z nią dzieje, może ona tam kogoś zostawiła? Czemu ona tak rozpacza? Wreszcie nie wytrzymałam, powiedziałam, że chodzi o moje koleżanki, które t a m zostały.

Po jakimś czasie przyjechała moja koleżanka, Jasia Latoszek, która odnalazła ojca dzięki moim rodzicom. (stał znaczne, ale nieistotne skróty) Jeszcze z Dźwińska pisałam do nich z prośbą, żeby go szukali. Ojciec napisał do Jasia (tam miał być) i przyszła odpowiedź, że nie żyje. Nawet Jasi o tym nie pisali, po co ją martwić. Tymczasem to była pomyłka. Przypadkiem, na poczcie odnaleźli się ludzie, którzy powiedzieli, że niejaki Latoszek jest tu, we Wrocławiu nauczycielem

i to w pobliskiej szkole. Dano znać Jasi, wysłano list - szalała ze szczęścia. Ponieważ pan Latoszek pracował w Liceum dla pracujących powiedział nam, że trzeba się uczyć, "unosić głowę". Wisłyśmy olbrzymie opory : braki we wszystkim, zwłaszcza w matematyce, fizyce, chemii. Ojciec przyniósł stos książek, zaczynamy. Historia jako tako, zaczyna się przypominać, polski nieźle, nawet dobrze. Ale fizyka i chemia! Na kompletach tego nie było. Jak zdawać? Do której klasy? Tęż lata do matury! Latoszek mówi: Spokojnie, idźcie do dziewiętej klasy. No dobrze, ale fizyki i chemii nie umiemy. Nie szodzi, ja to załatwię, idziemy do szkoły. Pan Falkiewicz przygląda się paszportowi (wydali nam je w Pszczynie na podstawie kart ~~emigracyjnych~~ repatriacyjnych inne, ale to było później) czerwonemu. Ja mówię, mówię, wreszcie on : Jestem zachwycony, że panie po tylu latach i tylu przeżyciach tak dobrze znają j. polski i polską literaturę. Wielicie dobrych polonistów w tym waszym Wilnie. Potem inne egzaminy, fizyka u prof. Wilniewszczyca z Wilna. Powiedział, że nadrobimy, bo egzamin jakoś nam nie poszedł (dałbym pani piątkę, gdyby to był polski), wreszcie fiz chemia u śp prof. Stefanickiego. Powiedział: Inny bym nie darował, ale wiem, skąd przyjechałyście, daję wam pół roku, musicie nadrobić. Przez te pół roku nie będę was pytał. Ale za pół roku będę wymagał tak jak od wszystkich. Musicie się wziąć do nauki. I tak było. Ponieważ to było liceum dla pracujących, musiałam iść do pracy, byłam sekretarką w szkole, tego Stefanickiego, chemika. Pomagał mi, wreszcie zdałam egzamin komisyjny na piątkę.

Maturę zdałam, potem zdałam na matematykę, studia dzienne, pochodziłam na tę matematykę. Zaczęli mi mówić: Popatrz, ile masz lat jesteś na garnuszku rodziców. Wyślę: trzydzieści lat minęło, a ja jeszcze: Mamo, daj na pożyczochy, mamo to, mamo tamto... Przyjechał Leos, mąż Helenki, i mówi: Słuchaj, jest taka fajna praca w ośrodku wczasowym, tam przyjmują tych, co wrócili z obozu. Wtedy jeszcze Piasecki był, różne były pod jego adresem uwagi, ale przyjmował

wszystkich tych, którzy wrócili z obozów i mieli trudności z uzyskaniem pracy. To był dom wczasowy INCO, spółka z oo, której udziałowcem był PAX, 8 proc, czy ileś było odpisywane na PAX. Zaraz mnie zatrudnili w tym domu wczasowym w Lubachowie¹⁵⁷ koło Zagórza Śląskiego. I tak zaczęłam pracować. Potem byłam nad morzem, organizowałam kolonie i wczasy, potem poszłam do zakładu produkcji aparatury pomiarowej we Wrocławiu - do 68 roku, a od 68 roku pracowałam w Biurze Projektów gazownictwa Gazoprojekt. Wyszłam za męża, dorobiłam się dwóch budrysów. Wprowadzi koleżanki mi życzyły kiedyś, żebym miała pięć razy po troje, w takim wierszyku na św. Mikołaja :

Dziad Mikołaj szedł po świecie, tfałił do mordowni
Obiecuję Loli dzieci dać dużo i dobrych

Wróć Lolu, do ojczyzny, daj Polsce chłopaków

Daj lotników, marynarzy, daj synów - Polaków.

Niechaj inni ci zazdroszczą widząc dzieci twoje,

Ty im na złość daj ojczyźnie pięć razy po troje!

No, niestety, może być lotnik, marynarz, ale już nie pięć razy po troje. Mąża mam ze Żłowa, też kresowiak, dużo mamy wspólnego. Przydałoby się może, żeby był Wilniuk, ale szwagra mam Wilniuka, który był w AK, był w Kałudze - w rodzinie to jednak zostało. Od 82 roku jestem na emeryturze. Jeszcze nie chcę się starzeć. Jak spotykam kolegów z dawnych lat, a jest ich jeszcze sporo, czuję się młodo. Mieliśmy bardzo miły zjazd w Szczecinie, spotkałam tam swego kolegę, Pawła Bogdanowicza z Karolinowa, którego nie widziałam od 44 roku. Zapraszała Irka Federowicz. Teraz utrzymujemy stale kontakt.

Na koniec weselszy akcent. W obozie nie zawsze siedziałyśmy smutne i płakały. Były chwile odprężenia. Oto piosenka, którą skłeciłyśmy - charakteryzuje trochę nasze postaci:

Słomiane wdówki i stare panny czekają mężów jak żydzi manny,

Czekają we dnie, czekają w nocy i dłużej czekać nie mają nocy.

W marzeniach swoich widzą ci chwile, jedna żołnierza, druga
cywila.

Hanka wciąż wzdycha, Edwardzie wracaj i dni tęsknoty miłością
spłacaj.
Powrotu twego czekam spragniona, bom kochająca i wierna żona.
Niech z tobą wraca cała bateria, bo artyleria to artyleria.
Janeczka nasza błękitnooka, złocistowłosa i krągłoboka
Ma wielką słabość do oficera, bo delikatna psuje się cera.
Jej wszystko jedno, ułan czy lotnik, byleby do niej wielki ochotnik.
Byle miał oczy czarne jak smoła, wyniosłą postać i dumne czoło.
Halinka nasza nie liczy na to, jej by się chciało pożyć bogato,
Mieć piękną willę i srebrne lisy, a mąż być może z brzuszkiem i Łysy.
Kiedy mieć będzie auta i stroje, to i kochanków znajdą się roje.
Lecz wy nie wierzcie, to tylko słowa, będzie z niej jeszcze żona
wzorowa.
Lola o mężu nie mówi wcale, za to o dzieciach ciągle i stale.
Bywa, że czasem się zapomina, o jakimś dziadku mówić zaczyna.
Po tem niewinnie na nas spoziera, aż nas zabiera jasna cholera.
Bo w jej niewinność my nie wierzymy, chociaż niewinne nam stroi winy.
Wiemy, że nieraz już się kochała, tylko wyjść za mąż szczęścia nie
miała.
Jadziuniu nasza, nie spuszczaaj głowy, bo Herman wróci zawsze gotowy
I twoja przyszłość jasno zabłyśnie, bądźże Jadziuniu najlepszej
myśli.
Chociaż nie myślisz mieć męża, dzieci, to i do ciebie bocian
przyłeci.
Trzebaż rzec słówko i o Irenie, ta marynarza kocha szalenie,
Męża swojego wciąż widzi stale na polskim statku na morskich falach
I ciągle wzdycha: mój miły Boże, gdzie mój marynarz, okręt i morze.
Wzdycha na jawie, często w ukryciu, bo myśli wyznać - nieprzyzwoicie
Oto rodzinka nasza w komplecie o jednym marzy - o czym? - już wiecie
By nie wzdychały o każdej porze, dajcie im wolność mój miły Boże!

Koniec. Tobo było na tyle.

- Dziękuję bardzo.